

<http://rain.org.pl>

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

IGNACY GRABOWSKI.



PAMIĘTNIKI
RUPIECIA

Z przedmową

Adolfa Nowaczyńskiego.



WARSZAWA

Druk Ed. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.

Telefon Nr 27-73.

<http://rcin.org.pl>



21 324



PRZEDMOWA.

Książka, którą teraz czytelnik bierze do ręki to ani dzieło artystycznego kunsztu ani jakiś organizm literacki zamknięty w sobie i skończony, ani znowu pamiętnik, cokolwiek ze systematycznością chronologicznego spisywania sobie dziennych przeżyć mający wspólnego; to raczej wiązanka przygodna skonstatowań i stwierdzeń pewnych stanów duszy, pewnych kolorytów psychicznych, związanych dość luźnie z ostatnimi czasami a w zamian wcale mocno z glebą, z której wywodzi się spisywacz tych stanów dusznych *quidam*: Rupieć.

Niewielu dziś mamy pisarzy, w którychby instynkt rasy lechickiej przejawiał się z taką otwartością, swobodą i mocą jak u „wysadzonego z siodła”, przeniesionego na asfalt z mazurskich odsepów i piaskich łysin obszarnika bez piędzi gliny J. Grabowskiego.

Przypisanie glebie, nostalgia za zdrowem czystem powietrzem i wielkimi horyzontami pejzażowymi

wyjawia się z każdego jego gestu, z każdego zwrotu, z każdego myśli odcienia. Miasto, konglomerat wszech żywiołów parzy mu stopy, wytrąca z kontemplacyjnej równowagi i zwolna wpędza w spleen i melankolię. Nawet Warszawa metropolia jeszcze tak małomiejska w swej psychice wyrasta w oczach byłego Rupiecia do rozmiarów mrowiska milionowego, „polipa”, „byka Falarysa”. Nie znaczy to jednak aby obywatel Rupieć na wsi, w Gratach plockich czuł się halkyonicznie szczęśliwym; zupełnie nie. Smutek dojmujący i poczucie niewoli, świadomość piekielnej bezsilności i ciężar kajdan wlecze się za nim wszędzie, choć tam i nadrabia on miną zadzierzystą, kryguje się na fejtetonowego causeura lub filozofuje sceptycznie a co nieco przez rurę od barszczu. Myśl Grabowskiego kółuje ciągle i upornie koło niedoli nie warstw, nie kast, nie indywiduum i nie całego stworzenia ale koło tej najistotniejszej i jedynie najcięższej do zniesienia niedoli swego plemienia. I stąd to od czasu do czasu plucie na wszystkich i na wszystko, stąd to szukanie przyczyn złego na najbliższych niekiedy terenach, stąd ta złośliwa, surowa zręczność wobec czasem Bogu ducha winnych objawów i typów życia polskiego, stąd także ta mizantropia i całkowite zadowolenie się symbiozą z zacnej pamięci psem Burkiem i dziewicą folwarczną Zoską.

Żaloszny a żartobliwy pamiętnik człowieka, który czując w sobie głęboko żądze czynów i wawrzynów, równocześnie gatunek swój społeczny uważa za „rupiecie” (więc wyniszczony i zbędny), pamiętnik ten z przedziwną szczerością daje szkice were-

dyczne z ziemiańskiego żywota na jednej wiosce. Nie tak to sybarytyczna dola jakby się wydawało zaprzysięgłym wrogom „spasionych agraryuszów“. Każdy dzień każe się ocierać o pocziwą zwierzęcość „kmiotka“, o siedem grzechów głównych bliźniego, każdy dzień niszczy co najostatniejsze illuzye. Idealista gospodarz rolny to *contradictio in adiecto* jakich mało. Taki w oczach „poddanego ludu“ wraz zacznie uchodzić za „pomieszanego“ z kielbami we łbie, w oczach szanownych sąsiadów za niebezpiecznego i nieznośnego burzyciela, filozofa, „komunista ze Szwajcaryi... tam gdzie sery gniotą...“

Wielmożny pan Rupieć ciężką musiał mieć dolę na tle okolicy, której ciszy nawet świst parowozów do tych czasów nie zakłóca. I jeszcze z tem ciąglem dodajmy cytowaniem onego Kanta i onego Schopenhauera, którego rozprawę przetłomaczył pod wprost zagważdżającym obywatelską inteligencyę tytułem: „O poczwórnym korzeniu twierdzenia na podstawie dostatecznej“. W całym hreczkosiejstwie powtarzało się ten tytuł „o poczwórnem korzeniu twierdzenia“ raz z głębokim podziwem, raz z absolutnem lekceważeniem, ba nawet z pewnem szyderstwem nad tem, jakto o wszystkim *twierdzić* może i na *podstawach dostatecznych* i niby z *poczwórnego* korzenia właśnie ten młody obywatel, który nawet na *pojedynczej* wsi normalnie gospodarować nie umie...

I miano racyę.

Minęły te złote czasy, błogie czasy, kiedy na jednej wsi umiał siedzieć kochanek Muz Sarmackich, pod lipą układać piękne pieśni a dostatku jeszcze

przymnażać i czysty pieniądz w skrzyniach komory ostawiać progeniturze. Minęły sielanki i sielankowe pisorymy. Oto jaka teraz rozterka w duszy młodego Samuraja mazurskiego! Oto jak szablą starą (dziś już w czasach Maxima, Armstronga, Kruppa i Ballina tylko muzealnym rekwizytem) sentymentalnym kawalkiem kiepskiej stali, zabijać musi Kmicie naszych czasów, Rupieć de la Mancha już nie skrzydła wiatraka a... z przeproszeniem „świnie, które wchodzą w różę, ...tak jest „świnie w różach...”

W twórczości Grabowskiego odczuwa się już przebudzającą się świadomość ustawicznego bezgranicznego wstydu za tyle tyle podległości za tyle tyle marnowanych mocy. I to w nim najważniejsze. Nawet w tych gawędach Rupieciowych tak dziwnie przypominających swą tonacją miłe ramoty Wilkońskiego, to rozgadanie się zgoła nie wytwornego causerra ma często siłę hamowanej passyi, często gest potępieńczego zwątpienia i rozpaczy, często chwytywanie się jakichś desek ratunku na ocenianie obojętnych wypadków społecznych politycznych, kulturalnych. Trzeba ino umieć czytać między wierszami. Grabowski nauczył się realnie patrzeć w życie i siedząc w Europie. Nauczył się tam cenić zdobycze pozytywne, owoce pracy, przejawy genialności praktycznej. I dlatego z tak słuszną furją mówi o tej ustawicznej hegemonii nie *u nas* ale *w nas* samych wszelkiego gatunku messyanizmów, towianizmów, mistycyzmów i t. p.

Zdrowy chłopski mózg Rupiecia z Rupieciów odczuwa doskonale, ile szkody wyrządza w gospo-

darstwie narodowym ta infekcyja hyperidealizmu, kpiąca sobie z „organiczników“, z „biednego mózgu“ z „pracy od podstaw“ z „cegielek“ z „malowanych garnczków“. Nie wywodzi się on z wielkomijskich młodzianków lyrizujących sobie i mystyfikujących bezpłatnie na koszt zaszczyconych takimi kwiatami rodzin ale idzie z ludzi pracy, związanych wszelkimi włóknami z ziemią, z przeszłością, z całością rodzimą; stąd jego czujne i troskliwe społecznikostwo. Że zasię urodził się już z poetyckiem okiem i politycznem uchem, z omal kobiecą wrażliwością i przemiłą impulsywnością, więc mu się w głowie wszystko przewala, kłębi i kielbi. Wtedy dzielny Rupieć staropolską manierą: *myśli głośno*.

I to jest urokiem tego pamiętnika: myślenie głośne. A obok tego często *humour home life* omal Szekspirowski, rubaszny, przysadzisty. Następnie dosadność wyrażen gdzieniegdzie nawet lapidarna. A dalej czytanie całkiem *respectable* w granicach oczywście wsiowych możliwości, ale czytanie tak wojujące, tak radosne, tak cieszące się ze swojego istnienia, że dla „erudyty z Płockiego“ Rupiecia każda książka nowa staje się odkrywana de noviter Ameryką. Z tego czytania tak świeżego, tak jeszcze nie odleżącego i nieprzetrawionego wypływają najniespodziewańsze, rozkoszne w swej pierwotności assocjacje myślowe Rupiecia. Łączą mu się w intelekcie pojęcia i światy, które jeszcze nigdy ze sobą pod dachem jednej czaszki nie przebywały; a to znowuż całkiem wedle tradycyi tych staromodnych „farmazonów“, „filozofów panie dobrodzieju“ porażających swą kolosalną inteli-

gentnością całe obywatelstwo z powiatu, zebrane w salonie dla tańców i w kancelaryi dziedzią dla winta, preferka czy taroczka. Ot co tu gadać: *poczwórny korzeń* w całym tego słowa znaczeniu ma ten nasz Grabiec i basta. Poprostu on sam jest *Dingausich* panie dzieju w własnej osobie i tyle.

W każdym razie w tych notatkach wykorze-nionego z ziemi płockiej Samuraja pulsuje żywe życie opromienione mężkimi tęsknotami czynu i działania twórczego. Pióro staje się szukającą zaczepkę w rękach obstrukcyonisty szabelką niepoprawnego szala-wiły, zawadyaki i impetycznego prawdomówcy. Do-skonale satyryczne cięcia tej nowoczesnej damaścen-ki, dziś niestety jedynie pozostałej Samurajom są solą attycką Raptularza Rupieciowego. Dusza li-stów tego zabląkanego w miasto Sylena wywo-dzi się w prostej omal linii od samego Beniów-skiego. Serce tych melodyi dobrze ogranych ale zawsze mile słuchanych to serce starego Lacha ser-decznego, dobrego Wandala z Ogorzelic, Mazura co gdyby mu zagrali... w „koncercie europejskim“ to taki sam jak dwie stówki lat temu odzylby jescce... z całą swą tężyzną uporną, z całą swą apoplekty-cznością, z całym swem zamiłowaniem szerokiego ba-jania i z tą zgoła anachroniczną ale na tle dzisiej-szej Europy dziwnie sympatyczną admiracją jesz-cze do... klejnotu szlacheckiego, oddawna w żydow-skich lombardach małych miasteczek już spoczywa-jącego.

Adolf Nowaczyński.

I.

O sobie.

Gdym ostatniego cekina postradał
I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta.

Niewiasty zdradzały mnie i to nieraz, ale że i ja także... więc kwita. Cekinów resztki jeszcze posiadam, co stanowi o głębokiej różnicy pomiędzy nastrojem moim, a nastrojem elegijnie usposobionego Morłacha.

Był czas, że porwany ciemnobłękitnym trągizmem „nagiej duszy“, stałem się nadcześniakiem. Plułem na ludzkość, plułem na społeczeństwo, plułem na matematykę i fortepian, na chemję i na 365 obiadów, na fizykę, że nie jest metafizyką, na metafizykę, że nie jest fizyką, na kobietę, że nie jest mężczyzną, na mężczyznę, że nie jest absolutem, na absolut, że trudno nań napluć, mówiąc po prostu plułem... na podłogę. W końcu wyplułem całą złość, i po *entente cordiale* z bardzo wydatną i bardzo ma-

łomówną indywidualnością — osobistym moim przyjacielem — kundlem Burkiem (o którym poniżej), zacząłem pisać pamiętnik.

Jestem ziemianinem, nazywam się Rupieć, a fortuna moja Graty. W herbie mam na błękitnem polu czerwoną beczkę, obok para mokrych wąsów. Przodkowie moi tak opili przyszłe pokolenie, że ja naprzykład mam idjosynkrazję do alkoholu. Jest to jedyna poważna przeszkoda do tego, abym został poetą, bo zresztą mam wielką miłość rozgłosu, umiem się jako tako wypisać i byłem w Paryżu. Ale trudno: czego nie można tego nie można! Stoję więc na posterunku i bronię swoich Gratów przeciwko własnemu lenistwu i kilkunastu rabusiom, usiłującym mi dowieść, że co moje to i ich, ale co ich to nie moje. Przez sześć dni w tygodniu obcuję z nimi i kocham ich, boć to moi bracia. Niedziela nie do mnie należy; oddaję ich Panu Bogu. Im miło, a mnie jeszcze milej.

Oprócz Gratów mam Zośkę i rzeczzonego Burka.

Zośka jest to dobra dziewczucha z gębą mazurską, płaską jak patelnia. Jest do wszystkiego. Kiepsko pierze, nietęgo gotuje, lubi kurz, ale świetnie czyści buty.

Raz przyszła mi myśl do głowy, czyby się z nią nie ożenić, jak to uczynił był „Marcowy kawaler” Blizińskiego. Zapytałem Burka — ten spojrział mi poważnie w oczy i przestał kręcić ogonem. Za ordynarna... ta wspólność stołu. Ot i teraz słyszę ją, jak łązi w trzecim pokoju i człapie chodakami.

Teraz, jak się zdaje, znalazła pokrewną duszę i sprzeniewierza mi się. Dostrzegłem, że pisarz

podwórzowy chodzi w moich kołnierzykach. Jak tak dalej pójdzie i posuną się do wszystkiego, co jest *inexprimable*, pozostaną bez garderoby.

Jedynym osobnikiem, który mi nigdy nie dokuczył, jest Burek. Zwyczajny polski kundel, z mądrością oczyma i gwałtownym, niespokojnym ogonem. Odebrałem go chłopakowi, gdy niósł szczenię, aby je w sadzawce utopił i odtąd wyzyskuje jego szlachetną psiość ku własnym sentymentalnym i filozoficznym celom. Jeżeli niektórzy naturaliści usiłują dowieść, że człowiek pochodzi od małpy, może to być tylko częściową prawdą. Od małpy pochodzić może *canaille*, hołota, ale dobrzy ludzie, kwiat ludzkości, pochodzi od psa.

Raz tylko do roku opuszcza mnie Burek, i to bez urlopu. Gdy wiosna zapachnie—znika na dni kilka, powraca, unika mego wzroku, jakby się czegoś wstydział, poczem włazi w dawną skórę i pogrąża się w cichą kontemplację otaczającego go świata.

— Pójdźże do mnie, ty kundlu nad kundlami! ty arcypsie w poważnem tego słowa znaczeniu! pójdź, Buruś! Ty wiesz rzeczy, o których się nie śniło żadnym filozofom. Patrząc na twoją myślącą fizyonomię, powstydzilem się niedorzecznej roli, jaką dotąd odgrywałem w nędznej tragifarsie. Przez ciebie powstaje ten pamiętnik, który kiedyś dla ludzi pretensjonalnych, zwanych historykami, będzie jednym ze źródeł poznania. Jak gdyby z książek można było coś poznać! Ale widzisz, Buruś, ludzie muszą żyć, muszą zarabiać, muszą kłamać, muszą się gryźć i pożerać, a przytem udawać i ma-

drych, i dobrych, i szlachetnych. Bądź dla nich wyrozumiały, Buruś!

Burek oparł mi łapy na piersiach. Połechtalo go uznanie z mej strony i jest zadowolony. Szturcha mnie pyskiem, co jest oznaką rzetelnego uczucia.

Wchodzi do pokoju ta Zośka... Aa!... Stuka po podłodze, jak owa kolubryna, którą Kmicie zagwoździł pod Częstochową.

— Ciszej, Zosiu! ciszej! przecież to jeszcze nie sąd ostateczny!

— Czy pan czego nie potrzebuje?

— Niczego, moje dziecko, niczego. Idź spać. Tylko zamknij okiennice, bo wicher je targa.

— Już dzisiaj, proszę pana, napewno ktoś się powiesi.

— Jak ci się zdaje: czy to ja się powieszę, czy ty?

Wyszczerzyła zęby i uciekła.

Z tym wichrem, z tym wichrem! Rzeczywiście to jęk straszny, jęk chóralny dusz potępionych. W tem szaleje cały świat dziko, namiętnie, z przeraźliwym świstem. A w szumie żadna harfa nie dojdzie do trzew jego i nie zatarga. Struny pękają, a wicher wyje.

Pomimo wszystkie ludzenia samego siebie, potrzeba mi trochy ciepła i trochy woni. Nie mogę żyć samą wyobraźnią, zmysły rwą się do życia. Staje przedemną uśmiechnięty Mefisto z piekielną lirą:

O, przyjacielu—w jedną chwilę
Dostarczę zmysłom twoim tyle,
Ilebyś nie miał w szereg lat...

.

A page! Ale rozumiem, że afektacya moja dla Burka jest tylko afektacyą, czyli zapełnianiem pustej stodoły—słomą. Ha! gdybym był pewny, że trafię na taką sobie Marynię Polaniecką... Gdybym był pewny, że trafię na kobietę, która zgodzi się być moją bezwzględną ofiarą... Na kobietę, która ma we krwi przesłodką dobroć i bezgraniczne poświęcenie... na Madonnę, której oczy zawsze pozostają dziewicze. *Immaculata!* Na kobietę, pochodzącą od gazeli, która pije wodę z kastalskich źródeł...

A takie istnieją. Tylko los przeznacza je często dla szympansów i orangutangów, które ciągną je gwałtem do swych dzikich puszczy i uczą małpich nałogów. A później chór tenorów rozpoczyna kantylenę: „*Donna è mobile*”.

Jeżeli zaś nie taka gazela, któraby ubezwładniła mą męską dzikość — dobrocią i „tryumfującą biernością”, o którą tępią się miecze, to już ostatecznie zgodziłbym się i na taką, dla której ja stałbym się łupem. Niechaj będzie Fryne, Ksantypa, Dalila—byle mi tylko umiała ostrzydz włosy. Niechaj nie czuję, że jestem ofiarą, niechaj kobiecość jej przykuje do galer moją męskość. Ale, powtarzam, musi mnie oślepić, bo gdybym przewidział, rozpoczęłyby się śmiertelny taniec wśród mieczów.

Małżeństwo nie znosi urzędzeń republikańskich, ani nawet monarchiczno-konstytucyjnych; na takich fundamentach oparte, zmierza szybko.. ku oligarchii. Nazajutrz po ślubie musi ktoś powiedzieć: „*Sic volo, sic jubeo*”—albo on, albo ona. Przynajmniej jeżeli nie powiedzieć—to pomyśleć. Oczywiście

ście ten ktoś musi się oprzeć na rzeczywistych i przyrodzonych sobie przymiotach... Wprawione zęby, peruki, sztuczne gorsety i tym podobne efekty, na odległość obliczone, należałoby przed ślubem wymówić sobie rejentalnie—w intercyzie.

Ale to jest rozumowanie, które jest tylko rozumowaniem. A świat zjawisk idzie sobie, jak mu się podoba. Drobnny wypadek, *imponderabile*, coś nieuchwytnego, pieprzyk, kawałek zadartego noska, barwa głosu—może sobie zadrwić ze wszelkich indukcji i dedukcji. Sięgam po białą gołąbkę, a chwytam ciężkiego ptaka, który ma też białe skrzydła, ale podskubane i niezdatne do lotu. Potem ptak ten czerwonym dziobkiem wyszczypie mi najpiękniejsze kwiaty w ogrodzie. I zimno będzie w zniczu rodzinnym, bo pali się słoma, słoma...

To wszystko jest ruleta. Krupier w godowych i ceremonialnych szatach wykrzykuje:

— *Rien ne va plus.*

Galka się toczy — miodowy miesiąc. Wreszcie wpada na czarne, kiedy ja postawiłem na *rouge*.

Ale „*rien ne va plus*”—i skończyło się.

Lepiej nie stawiać.

Lepiej zająć myśl i spojrzeć na wielką, smutną równinę la Manszy, gdzie cytryna nie dojrzewa, gdzie jest trochę domów z cegły, trochę dymiących kominów, dużo strzech słomianych z bocianami i mnóstwo starych wierzb, puszczejących młode pędy. Wziąć pióro Cyd Hamedy Bengueli i przedstawić don Kiszotów, Sanszo Panszów, mulników, oberżystów, korsarzów, pasterzy, pasterki, Dulcyneę z Tobozo, Inezę, Gibrzyna Karakuliambro, bakała-

rzów z Sewilli, wszelkie dreszcze i zapachy, począwszy od amoniaku, dziegciu i cebuli, a kończąc na „*triple extrait de Varsovie*”.

Pamiętnik ten zapieczętował sygnetem prawdy i poświęcił go rozgałęzionej rodzinie Rupieciów.

II.

Historia jednego dnia.

Godzina piąta rano. Przypędzono kilka krów włościańskich. Pasły się w szkodzie, w mojej koniczynie. Wkrótce zjawili się właściciele. Chciałem sprawę załatwić polubownie: niechaj zapłacą po rublu na potrzeby kościelne i pokwitowanie od proboszcza przyniosą. Obrazili się, a jeden z nich na odchodnym pożegnał mię słowami: Jeżeli pan bydłaków *tak* nie wypuści, niech pan się niczego dobrego nie spodziewa.—Robaczki! ale jestem wysoko ubezpieczony od pożaru. Sprawa pójdzie do sądu.

Szósta. Jedna z bab wstała z łóżka prawą nogą, druga lewą. Zeszły się w oborze przy dojeniu krów i pokłóciły. Powiedziały sobie kilka ostrych słów prawdy, pokazały języki i tak dalej, aż do absolutu. Na pomoc niewiastom przybiegli mężowie, pobili się, pokrwawili. Wszyscy czworo pocwałowali do miasteczka na oględziny do lekarza i podać skargę.

Siódma. Koń wpadł na bronę żelazną i przebił nogę. Takie rany goją się trudno, nie będzie mógł

pracować z miesiąc co najmniej. Fornal tłómaczył się, że „szkapa chimerna“, a ja widziałem zdaleka, jak ćwiczył batem. Nauczony doświadczeniem, poprzestałem na łagodnem strofowaniu. Dwa lata temu, gdy na grzbiecie jednego z takich rakarzów, połamałem kij, człowiek ten, znieważony w godności swojej, drągiem zbił innemu koniowi biodro. W taki sposób zemścił się na mnie.

Ósma. Zośka podała mi zamiast herbaty polewkę z czarnego cuchnącego błota. Powiada, że „widać woda w studni przybrała“. Ale okazuje się, że wczoraj, gdy mnie nie było w domu, gromada dzieci przez pół dnia rzucała w studnię kamienie, gnój i inne tego rodzaju ciała.

Dziewiąta. Wół pękł.

Dziesiąta. Przyszedł Szmulek z wiadomością, że cena zboża spadła, ale on chciałby coś kupić. Burek warknął, a ja powiedziałem żydowi: „Idź do djabła“.

Jedenasta. Pochwyliłem chłopaka, gdy mi kozikiem strugał prześliczne młode jesiony. Za uszy poprowadziłem go do matki: „W skórę hycła“.

Baba z zachowaniem wszelkiej oszczędności ubrania wzięła się do roboty.

— Będę tu przez ciebie cierpiała umartwienie, gruczole marny, kołtunie!—i w coraz większy wpadając zapal, coraz mocniej siekła chłopaka. Aż powstrzymałem ją przemocą:

— Przestań, niewiasto, bo nie wiesz, dlaczego czynisz!

Pomiędzy *dwunastą a pierwszą*. Wszyscy poszli na obiad. Nie mogąc w domu dać sobie rady,

z melancholją wyszedłem na podwórze. Zdaleka dostrzegłem Antka, gdy z workiem na plecach biegł od stodoły. Ujrzawszy mnie, rzucił worek i schował się za węgiel. Gdy ludzie powracali z obiadu i on razem przyszedł. Rozkazałem mu, aby worek który niby ja znalazłem na podwórzu, zaniósł do śpichrza.

— Jak ci się zdaje,—zapytałem—kto też mógł ukraść ten worek?

— Przecież nie ja, proszę pana—odrzekł, patrząc się pocziwie w oczy.

— A może ty?

— Żeby tu trupem padł... żebym...—grzmotnął się pięścią w piersi.

— Może i nie ty...

Puściłem go w tej niepewności, czy ja go widziałem, czy nie widziałem. Założyłbym się o parę dobrych koni, że przez miesiąc nie mi nie ukradnie.

Druga. Nieporozumienie głośnie pomiędzy pisarzem podwórzowym a jednym z parobczaków. *Cherchez la femme.* To o Małgosię... Udaję, że nie słyszałem, bo musiałbym jednego albo drugiego odprawić. Najmądrzej byłoby pozbyć się Małgosi, ale ona stąd nie pójdzie, gdzie o nią idzie turniej.

Trzecia. Przyjechał sąsiad X. Powiedział mi, że jestem najlepszym rolnikiem wokolicy, pochwalił moje urodzaje, konie, owce, bydło itd., poczem prosił mnie o poręczenie weksłu... Żydzi mówią, że to trup. Ale nie mogłem się wymówić: ma żonę, dzieci, a ja tylko Burka. Ale tysiąc rubli djabli wzięli.

Czwarta. Ludzie robili bez dozoru, a ekonoma zdybałem śpiącego. Łeb włożył w kopę siana,



było mu dobrze. Krzyknąłem mu nad uchem: Jegomość!

Jegomość wstał, a, otrzeźwiawszy, chwycił się za brzuch i zaczął go miętosić.

— Boli, boli!

Uwierzyłem, ale musiał wypić przy mnie pół szklanki olejku.

Piąta. Burek wlaźł w jamę i lis pokiereszował mu łapę. Przykusztukał na trzech i błagał o opatrunek. Żaden z chłopów dla plamy na honorze, boć to pies — nie robiłby około psa. Szympanięta! Musiałem sam zrobić bandaż, chociaż jestem niezdarny.

Szósta. Wóz ze zbożem powrócił z miasta.

Żyd nie przyjął zboża, bo ma być nieczyste. A to dlatego, że cena spadła.

Siódma. Kobieta we wsi umarła przy trzynastym dziecku. Co za los! Ośmioro żyjących, a z tego troje czolga się na czworakach.. Umierała przytomnie — wyznaczyła chłopu przyszłą matkę dla swojego drobiazgu. Jakkolwiekbaź żyliby ci ludzie, ale umieją umierać...

.

Siano pachnie. Powietrze aż parzy wonią. Krew szemrze na skroniach—głowa boli. I cóż mi jeszcze przyniesie ten dzień dzisiejszy?

Podobno z bólów, z czuć powstała ta literatura dzisiejsza. Książka—na okładce—chude kobiety, piszczele, węże, przerażone oczy, śmiech klów, tajemnice z otwartych grobów? Co w środku?

Czytam:

„W złotych promieniach, żagwiach rzuciło się prasłońce na błękitną roztocz Raju.

Nabrzmiały pąki grusz i jabłoni sokiem twórczości i przesłodkie strugi polały się na łąkę róż, lotosów i hyacyntów.

Pod śnieżną koroną jabłoni zasnęła Ewa, a na nagą jej pierś sypało się różowe kwiecie.

Opodał spał Adam, a w żyłaste jego członki wpijały się ostre grotki złotego słońca.

I nie było pomiędzy nimi, tylko wonie ślizgały się po przestworzu i mieszały na ich ciałach.

A wonie te były jak puch łabędzi, wykąpany w kryształach bezdennych krynic.

O rajskie blaski nagich dusz!

Z gęstego kuszacza jabłoni wyslizgło okrągłe, tłuste, pręgowe cielsko i zapłonęło w słońcu seledynem i szmaragdem.

Wąż odkręcił się i rzucił przednie zwoje w złote przezrocze raj. A iskry jego ślepi padały na Ewę.

Dotknął jej zimnem żądłem, przesunął je błyskawicznie od różowych palców stopy do hebana włosów.

Ewa zadrżała.

Ześlizgnął z trzona jabłoni, owinał nogi, uda i pierś śpiącej, a pysk położył między czerwone grona.

Ewa zadrżała.

Wyprężył kark i wsunął żądło do ucha.

Ewa zadrżała.

Adam spał.

Różowa roztocz rajy zapaliła się płomieniem,
a wszystkie białe liście dymity krwią.

A Adam spał“.

.

A to jest wcale ładne. Lenić sobie takie piszczałki ze słów zamiast z wierzby.

Byłbym dalej czytał, ale Burek zaskowyczał. Palila go rana. To lizal ją, to patrzal bolesnym wzrokiem na mnie.

Musiałem położyć książkę, aby zmienić mu opatrunek.

.

Wyobraźnia rozpędziła się i szalała, gdy ciało zasnęło. W nocy przyszła do mnie czarownica, paląca czarownica i powiedziała: Tat twam asi, asi.

Bronilem się i odrzekłem: Daj mi spokój!

Ale ona nie dała mi spokoju, przytulała się, a w końcu porwała gwałtem i polecieliśmy wysoko.

Pokazała mi Szarlatanję, t. j. całkiem ciemny kraj, gdzie w mroku jest jedyny jasny punkcik. A tym punkcikiem — łójówka, oświetlająca latarkę magiczną, głównego magika i kilku pomocników.

W powietrzu grają cymbałki. *Hocus, pocus!*

Pokazała mi kraj Bzików, gdzie zamiast powietrza istoty oddychają blado-niebieskim absolutem. Nie obowiązuje tu prawo ciężenia, bo widziałem wieżę jakiejś świątyni, wspartą na powietrzu t. j. właściwie na rzeczonym absolutcie. Grają złote rogi. Jest to sympatyczny kraj, ale trzeba nie mieć płuc, aby tu mieszkać. Chyba po śmierci...

Pokazała mi Cielętnik. Zielone terytorium, gdzie stada cieląt harcują naokoło tłustej jałówki, a każda w najpociesznieszy sposób stara się popisać oryginalnym kozłem. Wszystkie beczą: „Jam jest geniusz, dziecię muzy, całej ziemi król!” W powietrzu zapach cielęciny i świeżego mleka.

Przelecieliśmy nad płaskowzgórzem Cyrulików. Ogromne, ogromne przestrzenie o karłowatych drzewach i ubogiej przyziemnej roślinności. Majstrowie cechowi w białych fartuchach uwijają się pośród tłumów. Jednym upuszczają krwi, innych mydła, innych golą, innych perfumują. Grzmi kapela mazurków, krakowiaków, oberków. Zapach pomady, kwiatu lipowego i rumianku.

Wreszcie wichur popędził nas ku wrotom piekła. Ukazał się Lucyfer i uprzejmem machaniem ogona zapraszał nas w gości. Ale kogut zapiał, Hekata zapadła się w międzyświatowy eter, a jam się obudził i usłyszał skowyczenie Burka.

III.

Marynka.

Błoto, deszcz, wichur, psia pora, a Marynka nie opuści mszy albo małżeństwa w parafii. W umowie, biorąc w łapę rubla na zadatek, wymawia sobie czas na nabożeństwo majowe, czerwcowe, nieszpory wszelkie. Godzą ją tak, bo nie umyka w ciągu roku, nie pyskał i nie porwas.

Do Ameryki nie pójdzie, w Prusiech nie była

i w większem mieście nie była. W mieście Biedaszkowie, w swojej parafii, to bywa — na świńskim i krowim targu, na rynku i u Chany, gdzie kupuje na kiecki. Ustaliła się na swoich śmieciach, wrosła w grunt jak wierzba przy rowie. Tutaj spróchnieje, tutaj zamrze.

Co jej Ameryka! co jej Prusy! co jej niemiec-
kie, żółte i czerwone chusty! co sznurowane buciki!
co jej gry z chłopami po Gasthausach! co jej ame-
ryckie ruble! I tak swoich ma dosyć. Jeszcze cho-
wa w skrzynce.

Do kościoła zawsze przychodzi w porę i staje u samego zagrodzenia od Przenajświętszego Sakramentu. Dziad kościelny zna ją dobrze i nigdy nie ruszy, a innych popycha i przemieszcza. Ona się nie boi, samego organisty się nie boi.

Kłęcz—sucha, sztywna, nieporuchliwa jak żywe drewno, jeno chustą i spódnicą się fałdujące. A póki organy nie zagrały, wpatrzy się w wielki, czerwono-czarny obraz z boku ołtarza. Apostoł, święty Paweł, stoi oparty na mieczu, a naokoło poganie gną się ku Świętemu, jak kłosa kosą brane. Rycerz, ogromny, mocarny, a ludzie maluteczne jak pchły. Święty zna Marynkę, nieraz spojrzy na nią, a nawet się uśmiechnie. Marynce słodkość rozplynie się po szpiku, oczy rozemglą się i chciałyby zemdleć. Ale boi się zemdleć, więc nic jej nie jest, tylko wzdycha. Organy zagrają...

Otwiera książkę do nabożeństwa i nie umie czytać, ale czyta. Patrzy się na czarne litery, usta jej drgają. Modli się niemo, przydusznie, bez słów.

Myśli gasną, jak od najśłodsze go grania. Przystaje istnieć!

Kościelny zbiera grosze na ubogich. Pieniążki brzękają w tackę. Ludzie przesuwają się na kolana, stłaczają, potracą i Marynkę, cucą. Zabija ich oczyma. Skuli się i mocniej ściska książkę. Zębami rozerwałyby brzękającego dziada.

Czego chcą od niej? Jej cbodzi o własną duszę.

Po kościele chłopaki do Marynki nie przystają od czasu przygody z Kubusiem. Bo Kubuś żadnej nie darował, nawet dziobatym się mizdrzył. Raz, po kościele, natarł i na Marynkę.

— Znam cię; alboś ty nie taka Jewa, co jabłko w garści ściska, a nikomu ugryźć nie da?

A było błoto. Marynka tak mu ochlapała pysk i odzienie, że wszystkie dziewczki pokładały się od śmiechu, bo wyglądał jak strach.

I był spokój. Marynka zaś poszła do dom. W szczyrym polu, gdy ludzi już nie było, usiadła na kamieniu, przy rozstaju, i płakała.

.

Czyś zawsze była taka, Marynko? Pewno, że byłaś i jesteś taką, jaką cię urodziła matka. Jeśli masz duszę nieśmiertelną, to byłaś, jesteś i będziesz taką, jak jesteś. Czy przed urodzeniem dusza twa błądziła w chaosie, żadna ziemskiego bytu, czy po śmierci błąkać się będzie nad Letą, w niemem i głuchem Elizeum, albo czy odrodzisz się w innym kształcie, zawsze będziesz taką, jak jesteś?

Gdyby wszakże historia twoja była inną, czy postępowałabyś dzisiaj tak, jak postępujesz?

Zdaje mi się, że uczyniłabyś inaczej.

Oto *punctum saliens*. Charakter *pojęciowy* (intelligibile—wielka myśl Emanuela Kanta) jednostki, czyli to, co pospolicie nazywamy *duszą*, i charakter *empiryczny* jednostki, czyli to, co nazywamy *postępowaniem*. O duszy zwiastuje nam zmysł wewnętrzny, czucie wewnętrzne, o postępowaniu—wszystkie zmysły zewnętrzne. I wieczna wojna pomiędzy pierwszym a drugim, tem zażartsza, im powody postępowania w miarę wzrastającej cywilizacji stają się bardziej złożone.

Można to powiedzieć jaśniej. Czyny człowieka bywają gorsze lub lepsze od jego duszy. Łotr może postępować jak anioł, człowiek dobry jak zbrodzień. Rozstrzyga o tem, jak kto to nazwie, materya, wypadek, los, fatum, szczęście. Mniejsza o nazwę.

Oto, jak rzekłem, *punctum saliens*, granitowy fundament do działalności społecznej, jej filozoficzna podstawa. O wy, którzyście — dobrzy i mądrzy, starajcie się usuwać powody, rozkiełzujące zmysły człowieka, a więc głód, zimno i zbytek, nędzę i nudę, a postępowanie ludzi będzie lepsze. Innemi słowy, życie w społeczeństwie może stać się znośniejsze.

Głód — Scylla, zbytek — Charybda. Tam człowiek morduje innych, tu samego siebie i innych. Ten drugi gatunek bestyalizmu jest gorszy, bo ponętniejszy dla powszedniego oka tak, jak ponętniejsza cykuta w czarze tyrreńskiej, niż nóż rzeźnicki.

Ale nie zapędzajcie się za daleko. Nie sądźcie, że wyjść możecie po za silne wędzidła i po za dobre *nałogi*. Nie sądźcie, że przerobicie dusze, ludzkie z nieszczególniej są gliny. Jeżeli łaska, możecie

je podrobić. Świat się nie od was rozpoczął, dowodzi tego samo istnienie wasze. Będziecie na pogrzebie myśli waszych i poniesiecie trumienkę z białą szarfą i napisem: „Nadzieja mi umarła”.

Rzym był bogaty. Neron patrzył na obżarty motłoch i grał na gitarze. Dla zabawki palono żywe wioski. Rzym był bogaty.

Dobrodziejstwa cywilizacyi!

Wdzięczny jestem telegrafom i kolejom, że przenoszą duszę Szekspira, Goethego, Pasteura, Helmholtza and Com. of genius na wszystkie bieguny. Ale nie jestem wdzięczny kolejom, gdy pomyślę, że w tym samym wagonie jadą paki z wydawnictwem o miliardzie tomów p. t. „Encyklopedia głupstwa”, dzieła zapoczątkowanego od czasów ś. p. Jana Guttenberga i, jak się zdaje, nie mającego końca *a parte post*.

Mechanicy XIX wieku powiedzieli, że tak zwany rozwój społeczny jest przypadkową dwóch sił: sumy aktualnej głupoty i sumy aktualnej mądrości. Możemy skonstruować odpowiedni równoległobok. Ponieważ ta linia mądrości jest dyabelnie mała, wypadkowa zbiegnie się prawie z linią głupoty.

Ludzie myślą tylko popędzani biczem walki o byt i trudno im się dziwić. Nędza duchowa naszego czasu jest tak ogromna, że w głowie ognistemi głoski świta napis na bramie dantejskiej:

„Dzisiaj” telegratuje do „wczoraj”:— „Nie znam cię” — z naiwnością nieświadomego dziecka, które drze portret umarłej matki.

.
Marynka dopomina się swej historii. Nawet

Burek wstał, przeszedł się po pokoju, położył na podłodze i patrzy mi w oczy. Zachęca mnie. Zośka chychoce z pisarzem.

Cicho tam... ludzie! Bawcie się o jeden próg dalej!

Historia wyraźna jak sen i jak sen podaje ekstrakt rzeczywistości. Uważaliście, z jaką niesłychaną siłą wypadki uderzają na śniących. Nie przyciska ich rozumowanie.

Otóż, lat temu kilka, Marynka służyła u mnie. Była, jak dziewczyna, świeża i pragnąca. W czerwcu, gdy siano pachnęło, zmówiła się z Tomkiem i dali na zapowiedzi! Marynka była z natury wstydliva, a i matka pilnowała, więc przed ślubem bociany nie klekotały, chociaż siano pachnęło!

Wesele szykowało się nienajgorsze. Napiekli placków i białego chleba, wieprzek suto przerósł słoniną, kiełbasy się udały. Tomek nauczył się wreszcie pacierza, bo ciągle gadał: „Boże bądź miłościw niegrzecznemu” i ksiądz kilka razy go odpędził. Wdrożył się tak klepać, i trudno było mu odwyknąć, aż go Marynka uczyła: „Mnie grzesznemu.. „Mnie grzesznemu... mnie grzesznemu”. Miał być ślub.

W przeddzień poranek śmiał się, śmiała się i Marynka, czerpiąc wodę, a i żóraw studzienny piszczął wesoło, jak mógł. W podwórzu młocarnia bączyła. Ja obcinałem wilki u grusz.

Okropny krzyk!

Zęby młocarni porwały Tomka. Na miazgę... na miazgę... porwały na strzępy.

Burek przypadł mi do nóg, skomli, lize buty.
 Psie mój! mój psie!

Marynka gruchnęła w słomę i tak leżała całą noc.

Inni gadali, dużo gadali. Chłopów poważyło, ale baby trajkotały. Aż uciszyła je noc, której ja nie przespałem. Dziady czuwają przy nieboszczyku i śpią, ja nie byłem przy umarłym, a przewracałem się na łóżku. Jeżeli człowiek popełni zbrodnię, zmora przychodzi do niego, dusi za gardło, ale człowiek może wyjść na rynek i krzyczeć, że go lud słyszy: „Zamordowałem, oszukałem, wyzyskałem, okłamałem!” Ukarzą go i kara zdejmie mu połowę ciężaru. Sumienie daje się przekupić. Ale jeżeli wina przychodzi do człowieka — we mgle, nieuchwytna, z twarzą szyderczą, gryzącą, z pyskiem satyra, ciężko dać sobie radę.

Tomek umarł przy mojej młocarni, nie tylko dla mnie, ale i dla mnie.

O! straszliwy sens moralny ma ten świat, tak często podobny okropnemu snowi!

Można by wprawdzie *powiedzieć*: życie człowieka jest niczem, i jeżeli wierzysz w nieśmiertelność duszy, to zejście, uwolnienie się od znikomego kształtu jest lepszością.

Ale to tylko można powiedzieć. Nie potrzeba na to Hamleta, aby czuć, że te miliardy miliardów dźwięków, które codzien rodzi mowa ludzi, są to tylko słowa, słowa... Po za tem odbywa się cicha, niewyrażona niczem tortura dusz ludzkich. I to ona jest życiem, melodyą, a reszta—brzęczenie muszek w słonecznej porze—akompaniamentem.

Marynka na pogrzebie bardzo płakała. Potem łyzy ją zmoczyły i była sucha. Po zasypaniu dołu rzuciła się w gorący piasek mogiłny i spazmowała.

Nazajutrz przyszła do roboty i pracowała ze wściekłością. I ja z nią. Praco, praco, ty, moralności gromady ludzkiej i szczęście nieszczęśliwych! Niedziela jest dla tych, co w ogródku swoim mają jeszcze do rwania błękitne fiołki i ponsowe róże.

.....

Tomek zamieszkał w ziemi, ale w Gratach razem z Marynką pozostały placki, kielbasy i gorzałka. Rzucić psom?

Oto czego się dowiedział:

Rodzina uradziła, że grzechem jest, aby się dary Boże marnowały. Był w sąsiedniej wsi Jędrək, który zawsze miał się ku Marynce. Poszedł poń wujek Marynki i do Gratów przyprowadził. Miało odbyć się wesele zaraz, a zapowiedź i ślub później, gdy czas po Tomku wyjdzie.

Marynka pierwszego dnia nie słuchała, ale gdy ludzie zaczęli mocno płakać i żalić nad nią, płakała też i niechęć przystała.

W cichy, ciemny wieczór wrześnieowy, gdy gwiazdy się schowały, a drzewa kapaly rosą jak deszczem, przyszła muzyka. Pisnęły skrzypki, zadudniła bassetla, Burek zawył, wesele się rozpędziło, jak wóz we sto koni...

O północy poszedłem na wieś. Burek za mną, ale się cofnął. Burek jest purytaninem, nie lubi muzyki. Stałem u rozwalonego okna izby godowej, skąd buchała gorączka, mięso, gorzałka i pot.

Jędrək, krępeć, przysadny, szerokobary oblu-

bieniec, tańcował z Marynką. Przytupywał, gwizdał, Marynka zaparła dech w tańcu i przebierała kolana. On podochocony, ale pamiętny siebie jak król, ona—dziko, namiętnie, usta zacięła.

Wyszli na dziedziniec, trzymał ją w pól.

— Maryś, kochasz mnie?

Ona nie.

— Maryś, kochasz?

Nie słyszałem nie. Uszli mi w ciemnościach.

Po weselu Jędrak zniknął, i nikt go już w Gratach nie widział. Poszedł do Prus, czy do Ameryki.

— Obżarł się, napił się, przytulił się — rzekł mój pisarz Kozik.—I cóż?

.....

Wkrótce potem miałem pożar. No... nie paliło się. Jedna z dziewczek przeważa Marynkę „wdową”. Marynka rzuciła się na nią. Szczepiły się wzajem pazurami we włosy i niepodobna było ich rozłączyć. Musiałem być wylać na głowy dwa kubły wody. Przytem roznamiętniony bójką Burek podarł im spódnice.

.....

Marynka poszła do Częstochowy.

.....

IV.

Burek i kawaler Desglands.

Codzień, bez względu na pogodę, wychodzę z Burkiem w szczerze pole i przyglądam się światu,

a zapewne i świat mnie. Wtedy robię, co mi się podoba, i jest mi jako tako. Mógłbym nawet pisać Bukoliki, ale pisali to już świetnie Horacy i inni. Zresztą nie mam falerna, pstrągów... no i Lidii. Wprawdzie jest Zośka, mógłbym wmówić w siebie, że to Lidia! Do jakiegoż głupstwa nie jest zdolny rozum ludzki, gdy go opęta pragnienie?

Co tu wiele mówić o miłości!... Jest tylko jedna: miłość Romea i Julii, miłość niewinnych dzieci. Miłość, która nie jest ani cnotą, ani występkiem, ani pięknem, ani szkaradą, ale zjawiskiem kosmicznem, biegunowem przyciąganiem dwu organizmów, dążącym do zubożenia się w jednej wspólnej idei, jakby rzekł boski Platon.

Idea nata, amor mortuus.

Po za tem miłość ludzi winnych rozpamiętywań, obrazów, kombinacji, wogóle refleksyi, jest to *luxuria*—miłostka. Jest to deser do ostryg, szampana i likierów, lub do wódki z kielbasą, wszystko jedno. Jest to drobna cząstka uczty Trymalchiona. Pierwiastek farsowy, o tyle dramatyczny, o ile ktoś pragnie gwałtem stworzyć sobie dramat w imię prawa: „Natura boi się próżni“.

Widziałem więc na scenie i czytałem setki tak zwanych dramatów współczesnych, gdzie z kankana zrobiono *danse macabre*. Edward, sam już syty Kunegundy, rości gwałtowne pretensye do tej Kunegundy, że ta Kunegunda rości czule pretensye do innych Edwardów. Dramatopisarz sadza owego Edwarda na katafalku, ciągnionym przez osiem koni z czarnymi kapturami. Wszystko jest: żalobnicy,

poходnie, krzyże, nawet—płaczki, ostatnie—nie są nawet obyczajem aryjskim.

Jedź do Krety! jedź do Krety!

O, Offenbachu! lepiej to powiedziałaś...

Co do mnie, to widziałem taką miłość Romea i Juliety.

Była szeroka, długa wstęga zielonego żyta, cała w falach i w bałwanach. Zakwitło. Zerwał się wietrzyk i tumany pyłku z kwiatów rzuciły się na kłosa. Pole poczerniało, jak gdyby zapadła w nie chmura. Burzyło się, kotłowało. Nowe, nowe pyły leżały, płynęły. Tumany, gromady. Kłosa otwarły swe kwiaty i w dreszczu niepamięci poddały się miłosnemu dżdżowi.

Pięknie kwitło żyto tego roku. Było dużo czarnego chleba, a w roku następnym dużo chłopskich dzieci. Bo żyto pochodzi od „życie“, daje mocne, twarde, chłopskie życie, a czarny chleb jędrniejszy dla matek niż biała bułka.

Innego razu przyszła mi na myśl Julieta i Romeo, gdy przypatrywałem się w stawie zalotom złoty karpów. Woda pieniała się, bryzgała, jak pod kołem młyńskim. Opodał od miejsca, gdzie Amor figłował w śnieżnej pianie, młodzieniaszki-karpiki, słabe, do uczyty niedopuszczone, niespokojnie pruły wodę.

Może te same złote karpie jadłem później w gabinecie. Zdaje się, były z sosem i z rodzynkami. Kunegundzie bardzo smakowały, i za to mocno pocałowała Edwarda.

Tymczasem Burek goni po polu skowronki. Goni, pędzi, powraca do mnie zziajany, aż parzy

ozorem. Ale powraca z taką wesołą miną, jakgdyby był kontent, że mu skowronki uciekły. Co za pies! Gdyby myśliwiec przez dzień cały pudłował, to w końcu przekląłby w czambuł wszelką zwierzynę i wszelkie ptaki, a przytem byłoby go wstyd. Ale Burek nie ma ambicyi, nie ma honoru; jako pies nie rości pretensyi do „praw człowieka“.

Zaraz tego dowiodę, przepraszam, przedstawię. Nie jestem uczonym psychologiem, abym umiał duszę żyjątką, chociażby psa, rozwiązywać w liczbach lub normach.

Otóż Burek wczoraj i do tego w piątek, rozdarł i spożył kurę. Kura ta miała być w niedzielę na rosół dla mnie. Sfery interesów naszych zbiegły się wzajem, ale Burek mnie uprzedził. Zośka wpadła do mnie z nowiną.

— Ten, ten, ten... ten pies!

Męczyło ją, że nie mogła go przekląć. Bo jakże tu przekląć psa! Chyba nazwać go człowiekiem.

Byłem jakoś w różowym humorze, chwyciłem szpicrutę... Burek poddał się razom, zaskowyczał kilka razy. Nie uciekł, ale potem legł przed memem, pysk wtulił w łapy. I tak leżał.

Przechodziłem obok niego kilkakrotnie. Raz nawet odezwałem się: „Burek“! Nie ruszył się, leżał.

Na noc do domu nie przyszedł. Nie chciał nic jeść. Tylko leżał przed gankiem całą noc tak, jak w dzień!

Drugiego dnia wszedł do pokoju, liznął strawy i położył się w kącie. Ale nic do mnie nie

mówił. Głaskałem go, poddawał się, ale był zimny i nie kręcił ogonem.

Sprzykrzyła mi się ta samotność. Cóż u licha? chyba cię oszukam, mój psie.

Wieczorem położyłem się do łóżka i zacząłem stękać. Widziałem, jak Burek podniósł się i nadśluchiwał. Zbliżył się do łóżka i chodził niespokojnie. Jęczałem coraz głośniejsze. Słyszałem... tup... tup... otworzył jedne drzwi, drugie i poszedł. Jęknąłem bardzo głośno. Burek czekał w trzecim pokoju. Za chwilę weszła ze świecą Zośka, rozczochrana... snem zacierwieniona. Przeprowadził ją.

— Zosiu, wody!

Napiłem się wody, poczem dla niepoznaki jeszcze jęczałem. On zaś stanął na łapach i uczułem ciepły pysek na swej dłoni.

Jak widzicie—Burek nie ma honoru.

Inaczej z kawalerem Desglands—z *Jacques le fataliste* Diderot'a. Diderot jest świetnym pisarzem; jeszcze dzisiaj bardzo warto go czytać. Miał rzadki przymiot, że nikogo z myśli nie okradał. Przekład tu—o kawalerze Desglands—jest wolny; radzę przeczytać oryginał.

.....

Pewnego dnia kawaler Desglands zaprosił przyjaciółkę swoją, piękną wdowę i grono znajomych na obiad. Panowanie kawalera nad wdową miało się ku końcowi, a wśród gości znajdował się jego domniemany następca. Kawaler i tamten, następca, siedzieli przy stole obok siebie naprzeciw wdowy. Kawaler błyszczał całem swem *esprit* przed wdową, ale ona, w roztargnieniu, patrzyła w prze-

strzeń, od czasu do czasu, zwracając tkliwe oczy na następcę.

Podano jajka na miękko. Kawaler wziął jedno w dłoń. Chwila zazdrości, krótka jak myśl i skorupka jajka pękła w silnej dłoni kawalera, a płynna treść jego (jajka) polała się po twarzy rywala.

Ten zrobił nieokreślony ruch ręką...

Desglands nachylił się ku niemu i rzekł do ucha:

— *Monsieur, je le tiens pour reçu.* (Panie, uważam się za spoliczkowanego).

Zapanowało uroczyste milczenie, obiad włókł się smutnie. Gdy się skończył, piękna wdowa wezwała obu na osóbkę i robiła wszystko, co może uczynić kobieta dla pogodzenia. Błagała, płakała, omdlała. Ścisnęła dłonie kawalera, wzrokiem zażawionym obrzucała tamtego. Mówiła do jednego: „I ty mnie kochasz”? do drugiego: „I ty mnie kochałeś”? Mówiła do obudwu: „Chcecie mnie zgubić, uczynić przedmiotem plotek świata! Ktokolwiek z was odbierze drugiemu życie, tego nie zobaczę nigdy, nie będzie mi ani kochankiem, ani przyjacielem, poprzysięgam mu wieczną nienawiść”. I już z sił prawie opadła—krzyknęła: „Okrutni! doładźcie szpad i pierś mi przesyjcie, a jeżeli, umierając, ujrzę was pogodzonych, wyzionę ducha bez żalu”.

Ci stali, milczeli, jak słupy. Wkrótce obaj odwieźli wdowę do domu.

Nazajutrz kawaler złożył wizytę wdowie i zastał tam rywala. Kawaler miał na prawym policzku wielki czarny plaster.

Wdowa. Co pan ma na twarzy?

Kawaler. Nic...

Rywał. Fluksya?

Kawaler. Przejdzie.

Po wizycie obaj wyszli razem i w cieniowym parku wdowy skrzyżowali szpady. Rywał pozostał na placu, ciężko, ale nie nieśmiertelnie raniony, kawaler zaś powrócił do wdowy. Ta go wypytywała natrętnie o czarny plaster.

-- W istocie—rzekł, przejrząwszy się w zwierciadle—jest trochę za duży.

I obciął nożyczkami naokoło wążki pasek od plastra.

Kawaler. A teraz?

Wdowa. Jesteś o jeden cal mniej śmieszny, kawalerze.

Kawaler. I to coś znaczy.

Rywał ozdrowiał i... znowu skrzyżowali szpady, a i tym razem udało się kawalerowi. Tamten znowu ozdrowiał, i tak bawili się pięć czy sześć razy, a za każdym razem kawaler odcinał nożyczkami wążki pasek od plastra.

Podczas tego strapiona wdowa umarła, kawaler zaś pewnego dnia, pijąc czarną kawę z przyjacielem, odebrał hilecik, przeczytał i rzekł:

— Był to dzielny człowiek, ale nie umiałbym martwić się jego śmiercią.

I zerwał z policzka resztki plastra, który zmałał był już do wielkości małej muszki.

Jak widać z powyższego opowiadania, kawaler Desgland miał honor, i to w przednim gatunku.

Bij a słuchaj!

Gdybym miał rozpocząć na seryo pewne działanie społeczne, oczywiście z pragnieniem dojścia do stanowczego skutku, to, w obecności Burka, jako świadka, dałbym sobie wielkie słowo honoru, że niewzruszenie stać będzie przy nieśmiertelnej greckiej pamiętce.

Powiedziałbym sobie, że „muszę“ postępować, jak Temistokles.

Eurybiades. Cofniemy się.

Temistokles. Nie, naprzód! Zwyciężym.

Eurybiades. Młokosie! (i zamierzył się na Temistoklesa koszturą, czy tam czemś).

Temistokles. Bij a słuchaj! (i odpowiednio się nadstawił).

Eurybiades, który, jak widać, był również człowiekiem niepoślednim, uległ i... stała się Salamina. Scena czarująco piękna brakiem patosu.

Powiedziałbym sobie, że „muszę“ postępować, jak Boduen—to jest nadstawiać policzki do rozporządzenia ludzkości. Wyobrażam sobie, że po „akcie osobowości“ wszyscy amatorowie policzków moich chodziliby przede mną wstydliwie, jak Burek, gdy pożarł był kurę. Zdaje się wszakże, że jest to moja iluzja. Przeceniam wartości.

Powiedziałbym sobie, że „muszę“ postępować, jak Sienkiewicz, który, czując się człowiekiem, jeździ po zakątkach kraju ze słowami miłości i pojednania. A czyni tak pomimo to, że „najdzielniejsze umysły 1903 roku“, „*toute la nouveauté de saison*“ sami woleliby... nie pojechać.

Atmosfera jest balowa. Na środku sali stoi panienka... Idea. Szeregi tancerzów suną ku niej. *En avant, balançez...*

Balançez!..

Potem następuje *chaîne*. Baletnicy ściskają sobie ręce, aż oczy wychodzą z więzów.

Finałem jest... koszyczek dla panienki. Kontredans skończony.

„O wy, dusze dostojne!” — roześmiałby się w oczy chychotem warjackim—Nietzsche. Próchno... Berent dobrze napisał. Świecek bagienne, trujące pierś zaduchem!—Wasz balet, wasza zabawa w puste orzeszki, zwane „ja“, zbyt drogo kosztuje społeczeństwo. Rzeczywiście należałoby „przeszacować wartości“, nazywać człowieka człowiekiem, małpę małpą, a zmięę zmiją.

Dla was, dla próchna, niema dusz dostojnych. Niema tych, co „nie powstałi ani z soli, ani z roli, ale z tego, co boli“. Dla was Stefan Czarniecki jest może tylko tępym szlachcicem, Jaksą, ciemniącym ludu!

A przecież ten sam Nietzsche powiedziałby wam: „Niewolnikami jesteście“. Tak, niewolnikami próżności waszej. A nie masz nad to gorszej i cięższej niewoli.

Bo dusza „panów“ mieszka u siebie, we własnym domu, nie potrzebuje podziwu motłochu, nadstawia policzki i milezy, czyni i... milezy.

A wasza potrzebuje dyamentów, szafirów, rubinów, wrzasku, bębnów, dzwonek i cyrku. nierówność stanów, której, niestety, dekret żadnego sejmu znieść nie mocen.

Po rewolucyi francuskiej, która równała prawa ludzi, pozostała jedna tylko robota czegoś warta. Uszlachetnienie dusz. Przerobienie „chamów“ na „dusze dostojne“. I to jest pracą przyszłości.

Czy to się uda? Nie można dowieść, że tak, nie można dowieść, że nie.

Ale wierzyć zawsze wolno.

.

Jeżeli wspominałem o modnym dzisiaj Nietzsche, to dodać muszę koniecznie, że poeta ten (za takiego bowiem go uważam) jest jedną komórką mózgową olbrzyma, zwanego Schopenhauerem. Wszystkie myśli Nietzschego wypowiedział był już jasno, wyraźnie i systematycznie Schopenhauer. Nietzsche jest rozbukany poeta, więc ponosi czytelnika jak żrebiec.

Ponieważ *próżność* jest największą wadą rasową polską, jest, zdaniem mojem, źródłem wszystkich naszych niepowodzeń społecznych, przepisuję tutaj pewien ustęp z Schopenhauera:

„Ograniczoność natury naszej wypuszcza trzy pędy: ambycję, próżność i dumę. Pomiedzy dumą a próżnością różnica polega na tem, że duma jest to niewzruszone przeświadczenie o własnej wyższości pod jakim bądź względem; próżność zaś jest to chęć wzbudzenia takiego przeświadczenia u innych—chęci tej towarzyszy zwykle cicha nadzieja, że w końcu samemu się w to wierzy. A zatem duma jest to od wewnątrz płynące, bezpośrednie ceniecie samego siebie, próżność zaś jest pogonią za zdobyciem tego z zewnątrz. Próżność czyni czło-

wieka mownym, duma—mlezącym. Lecz człowiek próżny powinienby wiedzieć, że wysoką opinię cudzą daleko łatwiej i prędzej zdobyć można za pomocą wytrwałego mleczenia, niż za pomocą słów, chociażby kto miał do powiedzenia najpiękniejszą rzecz.

Nie można chcieć być dumnym, co najwyżej można dumę udawać, ale łatwo wychodzi się z roli. Albowiem tylko mocne, wewnętrzne doświadczenie o swoich zaletach czyni rzeczywiście dumnym. Przeświadczenie to może być błędne, lub polegać na zaletach zewnętrznych i konwencyjonalnych—nie to dumie nie przeszkadza, jeżeli ona rzeczywiście istnieje. Ponieważ duma ma źródło w przeświadczeniu, więc, jak i poznanie nasze, nie leży w obrębie naszej samowoli. Największym wrogiem dumy, największą ku niej przeszkodą, jest próżność, której chodzi zawsze o poklask cudzy, aby dopiero na nim ugruntować swoje o sobie samej przekonanie“.

Schopenhauer uważa dumę za „najmoralniejszą“ z wad ludzkich. Zdaje się, że ma rację, bo spojrzymy na Anglików.

Człowiek, wyzwalający się z dumy, z Szawła staje się Pawłem. Wstępuje na próg świętości.

Les extrêmes se touchent.

Próżność tworzy ludzkie monstra — potwory, poczwary. Stanowczo powiedzieć można, że bardziej podlegają jej mężczyźni niż kobiety. Kobiety walczą wprawdzie zacięcie o urodę, ale koniec końców poddają się konieczności. Mężczyzna próżny nie poddaje się nigdy. Jak stara panna, zawsze

rości pretensye do świata. Zęby straci, a będzie się szarpał, będzie walczył, jak prawy syn Prometeusza.

Trzebaby pióra Balzaków, Flaubertów, Maupassantów, aby wyrzeźbić te potworne, rozdęte próżności, ucieleśnione w kształtach ludzkich. Jak ocean od rekinów, wielkie miasta, np. Warszawa, roją się od megalomanów. Trochę wiedzy książkowej, trochę znajomości naskórka Zachodu „*toute la stupidité doctorale*“ — jakby rzekł Montaigne — neurastenia, jako podkład fizyczny, próżność jako podkład psychiczny—oto megaloman.

Jest to potworny nagniotek, który syczy za lada dotknięciem jak kawaler Desglands. Ale kawaler Desglands zabijał, a tamten pluje, ślini, czerni, lży. Przytem zawsze pieczętuje się dobrem społecznem, nauką, postępem i t. d., i w taki sposób olśniewa entuzjastyczne serce i młode umysły.

Prowincya ma typy monstrów niższe, mniej złożone. Już po wyglądzie zewnętrznym, który bądź co bądź jest zawsze zwierciadłem duszy, można rozróżnić gatunki inteligencyi.

1) Ludzie z brzuchem, ludzie Marjenbadu, monstra *per excessum*, jakby ich nazwali scholastycy średniowiecza. Konserwatyści, oportuniści. Hasło: „Trawię, *ergo sum*“. Cieszą się zaufaniem tłumu w myśl Juljusza Cezara:

„Otocz mnie ludźmi poszytymi w ciało,
Którym się świecą policzki i którzy
W nocy sypiają“.

Dochodzą więc do dostojeństw. A wtedy próżność ich traci charakter złośliwy, przechodzi w mi-

łą dobroduszość, skłania do akcji społecznej *par petits paquets*.

2) Ludzie bez brzucha, ludzie Karlsbadu, monstra *per defectum*—jakby rzekli scholastycy średnio-wieczna. Postępowi, radykalni, jak np. aptekarz Homais z „Madame Bovary“. Hasło „Chcę trawić, *ergo sum*“. Nie cieszą się zaufaniem tłumu, także w myśl Cezara:

„Ten Kassjusz wygląda blado...

Snać za wiele myśli... z takimi ludźmi niebezpiecz-
[nie“.

Zdaje się, że tłum i Cezar instynktownie czują prawdę. „Za wiele“ myśleć jest zbyt, na który pozwolić sobie mogą tylko wyjątkowe głowy. U ludzi zwyczajnych nadmiar myśli pasywnie toczy mózg i wytwarza mań. I nie dziwnego, że w człowieku, beczelnie wystawiającym mózg swój na pokaz, grożącym nim, jak żołdak szablą, każdemu, kto się do niego zbliży, a do tego próżniaku, ludzie podejrzewają raczej megalomana Herostratesa, niż „przyjaciela mądrości“, Arystotelesa. Ciekawe, że wyrazy polskie „próżniak“ i „próżność“ pochodzą od jednego źródła.

Trudna walka—z megalomanią, a i przymierze z nią nie warte szeląga. Kto naprawdę chce coś zrobić, ma tylko dwie drogi, albo drogę Napoleona — drogę entuzjazmu, co wszakże jest przywilejem rzadkich chwil dziejowych; albo drogę Boduena — nadstawiać policzki — drogę miłości.

Obiedwie streszczają się w Temistoklesowem: „Bij a słuchaj“.

. <http://rcin.org.pl>

Chlubą plemienia ludzkiego jest entuzjazm. Wyraz pochodzi z greckiego i znaczy: „Z tamtej strony bytu”. Natchnienie od bogów! Entuzjazm jest prochem, zamiary, cele — kulą. Kula może być wielka jak glob, lecz bez prochu nie zabije nawet muchy.

Pytam więc: czemu w narodzie, posiadającym młodzież tak entuzyastyczną, kobiety tak do dobrego zapalne, *res publica* wlecze się, jak dziad o dwu kulach.

Odpowiedź: Atmosfera mężczyzn, t. j. jednostek, które dzisiaj „przywodzą życie”, tak przesiała próżnością, że wszystko w niej więdnie i zwyrodnia się. Zamiast płodnego, ze źródła miłości płynącego czynu, puszenie się potwornych, rozdętych żab wszędzie: w dziedzinie nauki, sztuki i postępowania. Jeżeli tak dalej pójdzie, kobieta wzgardzi mężczyzną jak niewolnikiem, nastaną czasy amazoнок.

Tomiris utnie głowę Cyrusowi.

VI.

R u b e l.

Myślę, że jednym z najtrudniejszych i najniewdzięczniejszych jest zawód lekarza. Ten zbiór komórek najlepiej trawi baraninę, tamten cielęcinę, a ten znów wieprzowinę. Ten zmysłami wyczuwa zaledwie dwa wymiary, tamten opowiada o czwartym. Zgaduj, bądź mądry i odsyłaj wszystkich do jednej apteki. Przytem wplatać się może myśl: „omyliłem

się, zabiłem”, co zresztą wszechmocny rozum ludzki może pokonać inną myślą: „musiał umrzeć”.

Jeżeli więc Voltaire zalicza lekarza do owej trójki hultajskiej (Eskulap, Kalchas, Gorgiasz), czyhajacej na człowieka, jest to oczywiście grymas Fra Diavola na widok święconej wody. A już całkiem odpuścić można wesołemu turyście, który, podróżując po cmentarzach, znalazł następujący nagrobek lekarza: „Tu leży bohater, a naokoło ofiary”.

O śmieście się, wy, którzy jeszcze dobrze trawicie! Podobno śmiech jest wyłącznym przywilejem gatunku „*homo sapiens*”. Nie zgadzam się z tem: w przyrodzie niema przeskoków. Mój Burek się śmieje, koty się śmieją, krowy, nawet gęsi się śmieją. Nie śmieje się tylko nigdy wół, no, bo wół zawsze jest poważny. Dlatego bajkopisarze, na zgromadzeniach zwierząt, każą mu przewodniczyć jako prezesowi.

Zawód lekarski ma swoje pułapki. Być ciągle i tylko wtedy przy „królu stworzenia”, gdy ten król jęczy, ogląda się błagalnie o pomoc i podpisałby kontrakt regentalny z Lucyperem, aby mu zbuntowane komórki powróciły do szeregów, gdy ten król łudzi się, okłamuje siebie i obecnych, godzinami wsłuchuje się w szmery własnych kiszek— to prowadzi do wyników. Konsyliarz, t. j. radca, z początku na żądanie chorych, a później *motu proprio*, przedzierzga się w Napoleona komórek i rozkazuje z największą pewnością. Wprawdzie choroba nie zawsze go usłucha, ale chory zawsze. Więc dobrze.

Drugim wynikiem ustawicznego przyglądania się chwilom przewagi fizyczności nad *psyche*, jest

„cześć dla materyi”, materyalistyczny światopogląd. Najkrańcowszy z materyalistów, jacy kiedykolwiek napisali byli swoje *credo*, autor „*L’homme machine*”, przyjaciel Wielkiego Fryca, Julian Lametrie, był lekarzem. Umarł, wierny doktrynie, na pasztet z gęsiech wątróbek.

Nie mogę zrozumieć, w czem pojęcie „materya” jest bardziej rzeczowem, przedmiotowem, niż inne pojęcia kresowe (*Grenzbegriffe*), np. „dusza”. Wiem zaś to napewno, że w praktyce „*L’homme machine*” zabija entuzjazm, co jest kapitalnem głupstwem z punktu widzenia gromady społecznej. Gdybym był wielkorządcą i niósł na barkach swoich los Zoś i Tadeuszów, Kaś i Bartków, pierwszą czynnością moją byłoby wyszukanie kilkudziesięciu Platonów. Rozesłałbym ich (ma się rozumieć w towarzystwie tyluż Arystotelesów, aby ludzkość nie wyginęła), po wszystkich zakątkach kraju. Gdybym ich nie znalazł, złożyłbym wielkorządztwo, jak to zrobił był zacnej pamięci Sanszo Pansza.

Rzecz godna uwagi, że właśnie w tym zawo-dzie, który kształci najzapamiętańszych wolteryanów (?), masonów i lametryanów, prawem jakiejś polaryzacyi, czyli rozbiegunowania sił, prawem reakcyi rodzą się silni, rozbukani romantycy, to jest, jak ja to rozumiem, idealisci. Misyonarze ciała. Judy-m z „Ludzi bezdomnych”. Jak dzieci pustyni, Arab-y z Hedżasu, konie Alich i Abduramanów, wroga zdała nozdrzami wietrzące, tak oni wietrzą cierpie-nie, idą po nie i zabierają z sobą. Bezdomni i sa-mi, bo cierpienia niema domu. Jest wszędzie. W go-rejących wnętrzościach miast, na sennej twarzy wsi, w płaszczyznach pól, w świeście wichru, w hu-

ku burzy, w promieniach słońca, lęgnącego mór i zarazę. Wszędzie...

Ale Judym ma w sobie coś ze krwi Robespierre'a. „Czuję w sobie chamstwo”—mówi za niego Żeromski.—Chłuba pisarzowi, że dał postać żywą. Więc Żeromskiemu, nie Judymowi, należy się buława.

.....

Pierwszy poznał się na nim Burek.

Pewnego popołudnia dostrzegłem na podwórzu nieznanego mi mężczyznę, idącego w towarzystwie Burka.

Zdziwiło mnie, bo Burek do ludzi nie przy staje. Wprawdzie nie rzuca się obces, ale głaskać się nie pozwala.

Nieznamy, wzrostu wysokiego, szczupły, longinus, szedł z piersią w ciało wciągniętą, pochyłony, krokiem niepewnym, jakby stąpanie po miękkiej ziemi sprawiało mu pewien trud. Widocznie z bruku, mieszczuch.

Podszedł ku mnie.

On. Jestem K., lekarz, osiedlam się w Bieduszkowie.

Ja. Jestem Rupieć.

On. Słyszałem, że pan ma na sprzedanie bidę i konia.

Ja. Tak jest.

On. Koń nie narowisty?

Ja. Nie ze szlacheckich, z chłopskich, przy legły, Czasami potrzebuje bata.

On. Wolę. Aptekarz w Bieduszkowie, co to za człowiek?

Ja. Ma sześcioro dzieci.

On. Kto tu mieszka naokół?

Ja. Zagłoby, Rzędziany, Charłampy, Rupiecie.

On. I czern...

Ja. Bartkowie zwycięzcy, w Bieduszkowie zaś szkielety ludzi, zwane żydami. Okolica nazywa się...

On. Jak?

Ja. Dzikie pola.

On. Ja zaś powracam z Wielkich Ognisk. Puculi, cuchnące doły. Reminiscencya z czasów rzymskich... Ale pójdźmy obejrzyć tę bidę i tego konia?

Ja. Proszę.

Nabył bidę.

Myślałem, że mieszczech przyjechał tu po wiatr. Myślałem, że odpędzi go Nuda i pocwałuje za inną. Albo też zagarnie go fala sennaści, półdrzemki, zwana wsią i przystosuje się do przyrody, jak białe zające u koła biegunowego. Omyliłem się, Burek okazał się przenikliwszym odemnie.

Po miesiącu naród estetów, Bartki, a raczej Bartkowe nazwały go „dyablem”. Był to najwyższy kares i najwyższe uznanie. Pan Bóg wysoko; dyabeł jest swojak, chadza po chałupach, nikogo i niczego się nie wstydzi. Jest demokratą. Czy Beruta, czy Kusy, czy Paskuda (dyabeł leciwych panien), czy Nuntius, jest w każdej porze dostępny i ulgę przynoszący. Jeżeli człowiek ma rozum, to dyabła zaprzęże do roboty, jak to uczynił był Twardowski, wyzyska go, a potem odżegna święconą wodą.

Doktór, po dyabelsku, był wszędzie obecny. W niedzielę, w święto, w dzień, w nocy, w żniwa, w deszcz, w mróz.

Doktór, po dyabelsku, wszystko wiedział. Kto nie miał naprawdę pieniędzy, od tego nie nie wziął,

a nawet dał na lekarstwo, ale kto miał, a chciał go oszukać, to nie było rady. Musiał dać i jeszcze czasem za lekarstwo po pysku dostał.

Doktór, po dyabelsku, miał moc nad człowiekiem. Gdy kazał umierać, to się zmarło; gdy kazał żyć, to się żyło, chyba, że już ktoś sam z siebie musiał umierać.

Doktór był dyablem i taką wiarę miał u ludzi, że gdyby nazwał kogoś „głupim”, ten od razu przejrzałby samego siebie i już przez to stałby się mądrym. Oto tajemnica wiary.

Przed oczami mojami działa się ta metamorfoza lakierków w buty, paltota w burkę, światowca w misyonarza. Doszedłem do wniosku, że taka nadzwyczajna potęga czynu musiała mieć źródło w zdarzeniu nadzwyczajnym.

Więc przełom? Nie obawiajcie się tego pojęcia. Nie znaczy ono, że ktoś stał się czemś innym, niż czem się urodził, że się wynaturzył. Znaczy, że błyskawica poznania rozpędziła ciemność, zostawiając jaśń na całe życie, a w tym blasku—duszy staje się widno. Jest to najwyższy, jedynie czegoś warty tryumf umysłowości ludzkiej nad cielesnością; tylko takiej ewolucji życzyć można ludzkości. Ale tak zdarza się rzadko; najczęściej ludzie waryują, zabijają się albo godzą się z losem. Mało kto zniesie oślepiający blask prawdy.

Przyszła chwila, kiedy K. przyjechał mocno podniecony i uściśnął mnie wilgotną ręką. W uścisku tym poznałem, że dzisiaj jest słabszy odemnie, że mogę nad nim zapanować. Jakoż doprowadziłem go do wyznania.

Opowiedział mi taką historię:

Mieszkałem w dużym mieście i byłem na gościńcu, prowadzącym do karyery. Miałem gustownie urządzone gabinet, przychodniego lokaja i trochę pacjentów. Zaczynałem już wierzyć w siebie, co oczywiście jest pierwszym krokiem do pomyślnego stoczenia walki o byt. Prócz tego miałem piękny, gładki, lśniący cylinder, co proszę zapamiętać.

Pewnego dnia, o zmierzchu przybiegła stara kobieta, wzywając mnie do chorego męża. Z opowiadania jej zmiarkowałem, że ów mąż ma silny atak duszności. Poszliśmy.

Kobieta była fizycznie rasy delikatniejszej, po ruchach i kroju ostrzępionej i wyblakłej, ciemnej sukni łatwo było poznać, że z drabiny społecznej—spadła. Okazywała dużo gorzkiego afektu i nie podobała mi się. Oczy miała tu i tam biegające, co prawie zawsze oznacza złe instynkty i tępy, choć sprytny, umysł.

Zaprowadziła mnie na trzecie piętro wtłoczonej w małe podwórko oficyny — po brudnych schodach, gdzie o lepką poręcz powalałem ręce. Chory leżał na sienniku z poduszką opartą o kufer—dychał i świszczał. Był zupełnie w ciemności, bo światło nocnej lampki, stojącej opodal na stoliku, słabo sięgało kąta, a przytem lampa kopciła.

— Proszę mi poświecić—rzekłem.

Stara zaambarasowała się. Widocznie w mieszkaniu innej lampy nie było. Wyjąłem z kieszeni składany lichtarzyk ze świeczką, zapaliłem.

Stary leżał z zamkniętymi oczyma. Niezapięta u szyi koszula odsłaniała nagą, suchą, włochatą pierś. Ciało było woskowe, a twarz czerwona. Od głowy buchała wódka.

— Mąż pani pije?

— Zawsze, gdy się dorwie...

— Nie powinna pani pozwalać!

— Kto poradzi?!

— Jeżeli będzie pił, wkrótce umrze.

— Wola Boska—rzekła twardo i odwróciła się odemnie.

Rozejrzałem się po izbie. Wydała mi się ma-
leńką, a była duża, bo przepołowiona przepierze-
niem. Ztamtąd, z za przepierzenia, dochodził mnie
szept.

— Joasiu! wody—wyświsnął stary.

Stara podała, on otworzył oczy, pił.

— Gdzie Joasia?—zapytał.

— Cicho, jest pan doktor—odrzekła.

— Joasiu! Joasiu!—piszczał żałośnie stary.

— Cicho!—wyrzuciła ostro, prawie krzyknęła
kobieta.

Umilkł.

Pisałem receptę. Tu było cicho: słyszałem
skrzyp pióra po papierze; tam—za przepierzeniem—
stawało się coraz głośniejsze. Najwyraźniej ktoś cho-
dził. Nie było w tem nic nadzwyczajnego, jednakże,
nie wiem dlaczego, długo pisałem receptę i myliłem
się w gramach.

Z za przepierzenia ukazał się mężczyzna, prze-
szedł prędko przez pokój i znikł za drzwiami, jak
widzenie. Nawet ich nie zamknął. Nie dostrzegłem
twarzy, niczego, tylko widziałem na jego głowie
piękny, lśniący cylinder. Taki sam, jak mój, jak
wszystkie cylindry.

Stara — stała, odwrócona do mnie plecami,
i grzebała coś na kuchni.

Za chwilę—stamtąd—wysunęła się ręka i para wielkich, rozszerzonych, wilgotnych oczu. Ręka rzucała coś ku siennikowi, gdzie leżał stary; upadło, potoczyło się, brzękło.

— Na! ojciec... — krzyknęła rozdzierająco para oczu...

Stara podniosła rubla i położyła go na stoliku, gdzie pisałem. Leżał srebrny, czysty, błyszczący.

Hej!

Wziąłem cylinder, wyszedłem. Powoli szedłem, instynktownie trzymając się poręczy, aby nie spaść ze schodów. Czuję się słaby, senny. Nie zdążyłem wszakże jeszcze dojść do pierwszego piętra, gdy coś z brzękiem padło u moich nóg.

— Panie, rubel! — krzyczała z góry Joasia—
My nie zebrzemy.

Rubel toczył się po schodach, ja za nim. Spotkaliśmy się na parterze.

.....

Skończywszy opowiadanie, K. rzekł:

— Pozwoli mi pań puścić w ruch swój gramofon? Widziałem u pana nuty i chór aniołów w kaplicy Sykstyńskiej. Można?

— Założę nuty—rzekłem:

Gramofon śpiewał, K. zaś rzucił się na łóżko, twarz utkwiał w poduszkę i słuchał...

VII.

Czy Burek jest filistrem?

Którejś nocy, gdy spałem snem niespokojnym, otoczyła mnie banda Siaksów czy Huronów z okrzy-

kiem wojennym: „Filister, filistra, filistrowi, filistera!” Wojownik, którego towarzysze zwali Naga Pięta, jednym rzutem tomahawka zdjął mi czuprynę, a wojownik Miedziane Czoło kordelasem wykroił mi serce. Potem czereda wyniosła się z mrukiem zadowolonia, jakie bywa skutkiem sumiennie spełnionego obowiązku.

Okrzyk pozostał i dręczy mnie. Czy jestem filistrem? A więc jak Dante do piekła, zstąp, człowiecze, w otchłań własnej duszy i wydobądź prawdę.

Ha, ha! Szekspir tego nie doradza.

Kasyusz: Powiedz mi, proszę, Brutusie, czy możesz

Ujrzeć twarz własną?

Brutus: Nie, Kasyuszu; oko

Nie może bowiem samo siebie widzieć,
Chyba w odbiciu.

Kasyusz: Prawda...

Mam wierzyć Szekspirowi? Gdy pomyślę, że każda wada, będąca cudzą własnością, razi mnie niezmiernie, taka sama zaś wada, będąca własnością moją, jest przedmiotem miłości mojej lub usprawiedliwienia, muszę wierzyć Szekspirowi. Zrzekam się samobadania, natomiast całą swoją potęgę *nieświadomą*, zwaną odczuciem, zwracam ku *odbiciu* swojego „ja”.

Któż jest mojem odbiciem? Ten, z którym powinowactwo z wyboru złączyło mnie przyjaźnią: Burek. Muszę więc rozstrzygnąć zagadnienie: czy Burek jest filistrem? *Qui se ressemble, s'assemble*— jeżeli on jest, i ja jestem.

Ustalmy pojęcia.

Podmiot: Burek. Jest to osobnik, jednostka,

konkret. Można go wyrzeźbić, uamalować, napisać o nim poemat, użyć do wiwisekcyi, złapać na stryk, ale niepodobna chwycić w porządną definicyę. Jest to Burek, pisze się wielką literą jak angielskie *I* (*ja*) — i koniec.

Orzeczenie: Filister. Jest to pojęcie, wymysł mózgu ludzkiego, łupinka, w którą odziewa się coś, co rusza się w świecie, jakiś kawałek materyi. Łupinka ta ma niewiele więcej niż sto lat, przywędrowała z Niemiec. My zaś starym obyczajem używamy jej jak Bartek szparagów, z grubego końca.

Koniec XVIII stulecia. Francya przygotowuje się i robi u siebie olbrzymi przewrót stosunków politycznych i społecznych. Ma przyjść Napoleon. W tym samym czasie na Niemcy pada manna, płodny, rodzajny deszcz. Z niesłychaną siłą rozwija się ich umysłowość, stając się podwaliną dzisiejszej ich potęgi materyalnej.

Oto Kant stwarza cały sztab przysłych przewódców duchowych narodu. Lessing wskazuje Niemcom wielkość i piękność Szekspira, koturny francuskie odrzuca za Ren. Goethe pisze „Ifigenię“ i „Wertera“—kładzie złoty most pomiędzy klasycyzmem a romantyzmem. Schiller pisze „Zbójców“ i wysyła Karola Moora, króla burszów, aby burgerom poodbierał szlafmyce, szlafroki, pantofle i fajki. Precz z filisteryą!

Precz z filistrami! — piszą „Hory“ i „Xenie“, redagowane przez obu wielkich Niemców. Precz z filistrami!—krzyczy „Atheneum“, redagowane przez braci Schleglów i Hardenberga (Novalisa). Ale „ukochany od bogów“ Schiller umiera młodo, Goethe, jako olimpijczyk, czuje wstręt do wrzasku gminnego,

więc powstała czereda wściekłych romantyków bez urodzonego przywódcy szturmuje do szlafmyc, przyjęta z tamtej strony okrzykiem: „Osły hyperborejskie“.

Umilkła wrzawa. Szlafmyce, szlafroki i pantofle pozostały, gdyż na północy zimno jest i niepodobna skostniałemi od zimna rękoma pisać poematów. Bursze poszli do warsztatów, do fabryk, do laboratoryów, do pól doświadczalnych, *des lieben Vaterlandes*. W naród wsiąkło coś trwałego, jakiś eliksir życia, co zbilansowało się pod Sadową i pod Sedanem. Niemcy odfilistrzeli.

„Filister czyli syn ziemi (*filius terrae*), mówi Artur Schopenhauer, *jest to człowiek bez potrzeb duchowych*, a zatem człowiek niezdolny i do *rozkoszy* duchowych, albowiem *il n'est de vrais plaisirs qu'avec de vrais besoins* (prawdziwe przyjemności wynikają jedynie z prawdziwych potrzeb). Istnienia jego nie ożywia dążenie do poznania i do zrozumienia dla samego poznania i dla samego zrozumienia. Jeżeli moda lub autorytet narzuca mu jakiegokolwiek przyjemności duchowe, odczepi się od tego prędko, jak od roboty przymusowej. Ostrygi i szampan, oto punkt najwyższy jego bytu, a cel życia—zdobycie wszystkiego, co przyczynia się do błogości cielesnej. Szczęśliwy, jeżeli taki cel wiele dostarczyć mu może! Bo jeżeli drogę do tego ma zatamowaną, czeka nań nuda, przeciwko której próbuje najwymyślniejszych środków: balów, teatru, towarzystwa, kart, hazardu, koni, kobiet, picia, podróży i t. d. A jednak to wszystko niczem nie jest na nudę tam, gdzie brak potrzeb duchowych unieвозмоżliwia rozkosze umysłowe. Stąd ta ponura, sucha, zwierzęca powaga, // *cechująca filistra*. Nic go

nie cieszy, nie go nie podnieca, nie go nie zajmuje. Bo uciechy zmysłowe wyczerpują się prędko, towarzystwo, z takich samych filistrów złożone, prędko nudzi, karty wkońcu męczą. W każdym razie pozostają mu jeszcze rozkosze próżności na jego modłę, polegające na tem, że, bogactwem, dostojęństwem, wpływem, władzą przewyższa innych, za co ci go szanują, albo i na tem, że przebywając z osobami, które rzeczywiście rzeczony przewagi posiadają, jaśniej w odbiciu ich blasku (snob)."

Oto nieśmiertelne słowa. I według nich można zawsze i nieomylnie sądzić o sile rzeczywistej, jawnej czy ukrytej, pewnego narodu. Jeżeli filisterja w takim znaczeniu rozlewa się, szerzy, zaraża, to równa jest Baltazarowemu *mane tekel fares*.

Ale jakie są te *potrzeby duchowe*? Są ich trzy rodzaje:

1) *Potrzeby oderwane*. Nauka, zbierać, systematyzować, gatunkować. Dążność do wiedzy czyli do prawdy wyrozumowanej.

2) *Potrzeby konkretne*. Sztuka, odczuwać. Poznawać. Poznawać czuciem, ujmować. Dążność do piękna czyli do prawdy wyczutej.

3) *Potrzeby metafizyczne*. Czynić z potrzeby czynu. Dążność do dobra czyli do prawdy moralnej.

Uczony, który pracuje dla nauki, nie dla fotelu akademickiego, nie jest filistrem.

Człowiek, który ma szlafrok i pantofle, ale np. zbiera motyle, skamieniałości, zielniki — nie jest filistrem.

Człowiek, który potrafi zaczytać się w książkę tak, że zapomni o sobie, nie jest filistrem. Autor tej książki mógł być filistrem.

Człowiek dobry nigdy nie jest filistrem. Nie jest filisterką siostra miłosierdzia. Nie jest filistrem żołnierz, idący na wojnę z własnej chęci i świadomy obowiązku.

Natomiast filistrem jest każdy człowiek, który przy każdej czynności nie jest zdolny zapomnieć o sobie, któremu własne „ja” tak mocno położyło się na barkach, że kurczy się, wiję, dyszy, wykrzywia w karykaturę, w coś, co nie powinno istnieć, w szlafmycę duchową, w filistra...

Filister niemiecki, nad Wisłę przeniesiony, zmienia wyraz. *Obiit* filister, *natus est* warchoł. Panu Schulzemu lub Müllerowi wystarcza fajka i kufel rodzimego piwa (umie je warzyć — dobre), pan *ski* lub *icz* ma gwałtowną potrzebę rozbierania swojego „ja” na otaczającą materję, chce być łechtanim od zewnątrz. Warchoł jest to filister zamaskowany, syfon wody sodowej, udający szampankę, błazen w kostiumie Prometeusza, niewolnik każdego obcego, który wali weń jak w bęben. Ponieważ nasycanie próżności, t. j. warcholenie, odbywać się musi przy pomocy innych ludzi, rozkosz ta nie może rościć pretensji do rozkoszy duchowych; żarłok, pożerający własne „ja”, nie ma słusznego powodu do zarzucania, „oźralstwa” jednostkom, lubiącym sardynki lub homary. Są to tylko odmienne formy łakomstwa, a nawet pierwsza gorsza, bo wpływa na zmniejszenie produkcyi, gdy druga — na jej powiększenie.

Do filisterstwa w takim rdzennem, istotnem znaczeniu stosują się słowa Skargi: „Królestwo przechodzi od narodu do narodu”.

Powracam do Burka, do głównego zagadnienia dzisiejszej pisanki.

Czy moje kudłate psisko jest filistrem?

O naukowych potrzebach twoich, Burku, nie wiem. Dają ci jeść, masz w przedpokoju kąt do spania, na zimę długim włosom porastasz, nie masz potrzeby abstrakcyi. Ale w pewnych warunkach, dlaczego nie mógłbyś urosnąć na profesora jakiegoś psiego uniwersytetu? Oczywiście, że to tylko przypuszczenie.

Czy jesteś estetą? Niewątpliwie masz zdolność odczuwania i zdajesz sobie z uczuć sprawę. Doskonale różniczkujesz ludzi i zwierzęta, a nawet martwe przedmioty. Kontemplujesz. Jesteś estetą. Pytanie: czy staćby ciebie było na sztukę syntetyczną, całkującą, na tworzenie ideałów estetycznych?

Nierozstrzygnięte...

Czem jesteś jako istota moralna?

Już poprzednio przytoczyłem był dowody, że urazy umiesz przebaczać. Mogę wskazać i drugi fakt, tak niesłychanie ciekawy, a zarazem zagadkowy, że mimowoli ciągle mi staje przed oczyma.

Pewnego dnia wpadła do mnie impetycznie Zośka:

— Szczur!

— Gdzie? co? czemu krzyczysz?

Okazało się, że w kuchni, na półki, gdzie stały gary, misy i t. d., w biały dzień wszedł duży, rudy szczur i najspokojniej, przy ludziach, wylizywał z mis resztki strawy. Na straszenie okazał się nieczułym. Jadł powoli, jak gdyby jedzenie sprawiało mu pewną trudność.

Przywołałem Burka, który w lot chwyta szczu-

ry. Pokazałem mu. Sunął. Szczur pisnął i siedział spokojnie. Burek zatrzymał się, popatrzał, powrócił do mnie i usiadł w kącie. Nie mogłem go zmusić do polowania.

To samo powtórzyło się z dwoma kotami, przyniesionymi w tym celu, nadzwyczajnie łowczymi.

Po chwili szczur sam spuścił się z półek, i stęskając, powłókł się do dziury pod stołem. Powtarzało się to przez kilka dni, ale szczur był coraz o ciężalszy i coraz boleśniej stękał. W końcu nie pokazał się już wcale.

Dlaczegoż w skojarzeniu z tem zdarzeniem tkwi mi ciągle w myśli fundament etyki wed indyjskich? „*Tat twam asi*—to jesteś ty”. I dlaczego przyrodzony, rzeczywisty fakt litości wydaje się czemś nadprzyrodzonym, czemś, co wykracza po za logikę natury? Nie wiem.

Nie jesteś filistrem, Burku, nie jesteś. Jeżeli przeżyję ciebie, postawię ci nagrobek z epitafium, mniej więcej takim, jakie napisano psu, pogrzebionemu w parku opactwa Newstead w Anglii.

Nieopodal od tego miejsca złożono szczątki kogoś, kto

posiadał Piękność bez Próżności,

Silę bez Zuchwałstwa,

Odwagę bez Okrucieństwa

i wszystkie cnoty ludzi bez ich występków.

Ta pochwała, która na popiołach ludzkich wypisana byłaby Pochlebstwem bez sensu, jest tylko słuszną czią Pamięci

Boatswaine'a psa

urodzonego w Newfoundland w maju 1803, zmarłego w Newstead-Abbey w listopadzie 1808.

Słowa pisał Byron.

Panna Helena.

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
 Usycham z żalu, umieram z tęsknoty,
 Lecz mimo chęci, jeszcze nie umarłem...

Pewnej wiosny wdałem się w nieswoje rzeczy. U siostry swojej, Marysienki z Rupieciów, która, jak francuski minister wojny, zajmuje się kojarzeniem małżeństw, poznałem pannę Helenę. Przedstawiła się oczom moim jako panna smągła, dobrze rozwinięta, z cerą—może za bladą. Miała plastyczną spódniczkę, pęk niezapominajek, gdzie potrzeba, i gęstwę kasztanowatych włosów, trudnych do pokromienia w grzebienie. Co ją wszakże nade wszystko wyróżniało, to dwugatunkowość ruchów. To chodziła porywczco, impertynencko, jak młoda kokoszka, to zwijała się i rozwijała miękko, wijąc się, jak czarny, pręgowaty kot nubijski. Ten chód tak mi jakoś przypadł do gustu, że zająłem się nią bardzo. Prócz tego miała dwadzieścia pięć lat i spory posąg w gotówce, posąg niezaprzeczony w wyżej oprocentowanych listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

A była wiosna! Gąsiorzy szczypały, indory gulgotały, roztaczając piękne wachlarze, gołębie gruchały u okien gołębników. Wody źródlane szemrały, fijołki... Pod rozgrzewającym się słońcem ziemia dyszała wilgocią, a z mułu ziemnego rwały się do życia miliardy efemeryd. Geniusz gatunku krzyczał: *Crescite et multiplicamini.*

Tak było radośnie, słonecznie.

Podobałaś mi się, Heleno, i powiedziałem sobie, że musisz być moją ofiarą.

Bociany—z zielonemi gałązkami w dziobach—przelatywały, budując gniazda.

Podobałaś mi się, Heleno, i gonić będę za tobą, jak Akteon za łanią. I pochwycę, chyba, że zginie ten świat, to jest: ja i ty.

Oto pękły mi cztery tłuste woły, bo nie pilnowałem gospodarstwa, wpatrzony w świeże niezapominajki. Oto uderzyłem Zośkę za to, że mi źle uprasowała koszulę, gdy jechałem do Niej, lekki jak Ikar. Oto kopnąłem Burka za to, że ośmielił się znaleźć na mojej drodze, gdy, tonąc w marzeniach, chodziłem po pokoju. Ale cóżeś ty temu winna, Heleno?

Czułem, że sprawa łatwą nie będzie. Nie miałem bowiem już tej furji młodzieńczej, która nieprzytomnie rzuca na armaty i zwycięża. Śmiesznie przystałby mnie płaszcz don Juana, szpadka u boku i gitara na ramieniu. Było się już w tym wieku, gdy świadomość szepce: *Tes yeux sont plus grands que ton estomac* (masz większe oczy, niż żołądek). Wileczek zamienia się w lisa.

A ona to przecie nie Małgoś u kądzieli. Jest to panna w całym znaczeniu tego wyrazu, wytwór cywilizacyi, perła Europy, soliter maharadzów Golkondy i Radżuptany, dama.

Ma posag, ma grunt pod nogami. Żegnając się z tłumem „conquistadorów“ może najspokojniej patrzeć na guziki swoich rękawiczek. Z drugiej strony ma poczucie, że jest fortecą obleganą wiecznie, więc wiecznie czuwa nieufna. Nawet gdyby

sprzymierzeniec z białą chorągwią dążył jej na odsiecz, nie dopuścił go pod flanki, poczytując za wroga. W końcu znużoną i senną może podejść prosta ciura.

Pociągi kolei przewietrzyły ją po kilkunastu stopniach szerokości i długości geograficznej. Widziała Paryż, Nôtre Dame, bulwary i kawiarnie, widziała Włochy, pomarańcze, makaron, Madonny, byka farnezyjskiego, widziała Interlaken i jadła prawdziwy ser szwajcarski, słodkie lzy rosący.

W Zakopanem jak kozica skakała po turniach i perciach, a znużonej i śpiącej pod smrekiem strzegł dziki juhas. W Krakowie pół roku była go-rejącą „nagą duszą“, a drugie pół roku białą, promienną elszą. Ztąd pociąg przywiózł ją do Warszawy, gdzie poświęciła się studjom psychologii i etyki.

Psychologii uczyli jej po salonach, na rautach i herbatkach rozmaici uczeni mężowie, dla dam szczególnie wylani. Etykę studiowała czysto praktycznie: tańcząc na ubogich i siedząc na wentach.

Z tych wędrówek i metamorfoz pozostały pamiątki. Piętnaście breloków, czyli wisiorów zwieszało się u pasa panny Heleny, a każdy z nich był symbolem czegoś. Niektóre nawet miały dwa lub więcej znaczeń. Zapamiętałem:

Zieloną żabkę z malachitu — symbol nadziei, wieszczbiarstwa i śpiewu chóralnego.

Parę koźląt bodzących się rogami ze srebra oksydowanego—symbol Amora i Psyche, albo walki o byt, albo igraszek olimpijskich.

Pelikana z celuloиду—symbol poety albo obżarstwa.

Puzderko z czarnej lawy, bez dna — symbol

duszy, albo odwrócone do góry mogło być pojęte jako tabakierka.

I tak dalej. Poza tem, oprócz innych było jeszcze *petit rien* z perłowej masy, podobne do serca; spoczywał tam włos znakomitego śpiewaka, Macieja Battistiniego.

Sprowadziwszy rzeczzone przesłanki do jednego wniosku, zakonkludowałem, że panna Helena jest krążownikiem mocno opancerzonym, który zdobyć można tylko szturmem *à bout portant*, za pomocą torpedy. Zrzekłem się więc bezowocnego flirtu i, korzystając z pewnego oswojenia się z sobą fizyczności naszych, napisałem do niej list:

Łaskawa panil

Nie mogę wyrzec się przyjemności zakomunikowania pani pewnego faktu rzeczywistego, którego sens jest tak głęboki, że niemal graniczy z nadprzyrodzonością.

W *Journal du Magnetisme* (z r. 1859, d. 25-go maja) podróżnik po Jawie pisze: „Znalazłem się w górach, zwanych Pieprzowemi. W gęstym lesie podzwrotnikowym, na gałęziach *kijatili*, spostrzegłem białogłową wiewiórkę jawańską, swawolącą z gracyą, właściwą temu zachwycającemu gatunkowi gryzoniów. Domniemanym kresem jej wędrówki było z jednej strony gniazdo okrągłe, utworzone z gałązek i mchu u wierzchołka drzewa, z drugiej—dziupla w pniu drzewa. Biegała z góry na dół i odwrotnie z gorącą skwapliwością. Że był lipiec, sądziłem, iż w gnieździe ma małe, w dziupli zaś śpizarnię owoców. Wkrótce jakby się czegoś przestraszyła, ruchy jej stały się nieskładne; zdawało się, że szuka czegoś, co mogłaby umieścić jako prze-

grodę pomiędzy sobą a dolną częścią pnia. Skurczyła się, tuląc się do gałęzi. Miałem poczucie, że niewinnemu zwierzątku grozi niebezpieczeństwo, lecz nie mogłem odgadnąć jakie. Zbliżyłem się i po uważnem obejrzeniu dojrzałem w dziupli pnia węża boa, strzelającego ślepiami do wiewiórki. Zadrzałem o jej los. Węże posiadają słuch dość tępy. Zresztą ten był tak zajęty zdobyczą, że wcale nie zauważył obecności człowieka. Mogłem być ocalić wiewiórkę, zabić węża. Ale żądza wiedzy pokonała litość, chciałem doczekać się końca. Był tragiczny. Wiewiórka wydawała krzyki żalose, które tym, którzy znają jej obyczaje, zwiastują obecność gadu. Posunęła się naprzód, próbowała się cofnąć, znowu szła naprzód i odsuwała się, powoli wszakże coraz bliżej podchodziła do magnetyzującego ją nieprzyjaciela. Wąż, zwinięty w kłębek, z głową powyżej pierścieni, nieruchomy, jak pień drzewa, nie spuszczał z niej wzroku. Wiewiórka z gałęzi na gałąź, spuszczać się coraz niżej, zstąpiła wreszcie na nagą część pnia. I już nie próbowała uciekać. Przyciągana mocą nieprzepartą, zawrotem głowy pchnięta, rzuciła się w paszczę węża, która otwarła się miarowo do wchłonu. Boa, dotąd nieruchomy, pochwyciwszy łup, okazał ruchliwość nadzwyczajną. Rozwinąwszy pierścienie, z nadzwyczajną szybkością wślizgnął się w mgnięniu oka na wierzchołek drzewa, aby tam spokojnie trawić i usnąć“.

I koniec.

Panno Heleno! Wiadomo pani z fizyki, że Galvani odkrył był siłę okropną, zwaną magnetyzmem zwierzęcym. Wiadomo pani z historyi filozofii, że

Edward v. Hartmann rozpiął się o potędze *Des Unbewussten* (Nieświadomionego), okradając bezczelnie „Wolę“ Schopenhauera. Wiadomo zresztą pani, że wszystko to, co się dzieje na świecie, staje się dzięki starogreckiemu Ananke. *Ergo* wiewiórka rzuci się w paszcze wężowi, a wąż wchłonie wiewiórkę. Tak być musi! Jeżeli pani nie wierzy Ajschylosowi, Sofoklesowi i Eurypidesowi, musi pani uwierzyć Przybyszewskiemu i mnie.

Wąż pochłonie wiewiórkę!..

Rupieć.

Odpisała mi po kilku dniach.

„Łaskawy panie! Nabawił mnie pan okropnego strachu. Całą noc nie spałam. Czułam węża pod poduszką. Zdawało mi się, że poduszka się unosi, a on wysuwa cielsko, aby mnie okreścić. Na drugą noc byłam mądrzejsza. Wiedząc, że węże lubią mleko, postawiłam pod łóżkiem miseczkę ciepłego mleka. I było mi spokojniej.

„Jak się panu zdaje? Gdyby wiewiórka miała gniazdo nie na tem drzewie, na którym osiedlił się wąż, czy stałby się ten straszny wypadek? Czy stałoby się to, gdyby wąż umieścił się na drzewie, na którym nie było wiewiórki? Pewien siwy, mądry człowiek powiedział mi, że rozdawcy szczęścia ludzkiego: Przeznaczenie i Przypadek, są to bliźnięta tak bardzo do siebie podobne, iż niepodobna ich rozróżnić. Czy tak?

Helena.

Post scriptum. Szykuje się majówka kostymowa. Zapraszam pana. Ja będę jako boa, a pan jako wiewiórka. Dobrze? Nie, pan niema czerwonych włosów. Niech pan przebierze się za lampar-

ta. Wszak wąż da radę i lampartowi? Zresztą do kostiumu tego tak mało trzeba dokupić! Więc będzie pan?⁴

Będę, Heleno, czem chcesz, szympansem, hyeną, nawet królem koreańskim!

Majówka się odbyła, ale nie ziściła moich nadziei. Panna Helena wystąpiła jako boa, ale zajmowała się tylko sobą, okazując tyle egoizmu, że wróciłem do domu rozhamletyzowany. Jednocześnie wyobrażnia do takiego stopnia podniosła skłonność moją ku pannie Helenie, że postanowiłem przejść Rubikon i spalić mosty.

Wypuściłem drugą torpedę, ale całkiem innego systemu:

„Łaskawa pani. Jeżeli nie mogłem trafić do pani za pomocą Symbolizmu, może trafię naturalizmem. Ostatecznie w coś musi pani wierzyć. Otóż pewien nieprzyjaciel ludzi, a przyjaciel ludzkości pozostawił w puściźnie piękny dyalog, który tutaj pozwalam sobie przytoczyć.

Tadeusz. Chciałbym przyszłym pokoleniom zrobić prezent z nowego indywiduum i sądzę, że pani może dać mu to, czego mnie brakuje.

Zosia. Mam taki sam zamiar, sądzę, że pan da mu to, czego ja nie mam.

Tadeusz. Dam mu słuszny wzrost i siłę mięśni—tobie tego brak.

Zosia. Dam mu wdzięk ciała i małe nogi.

Tadeusz. Dam mu orli nos.

Zosia. Dam mu małe usta.

Tadeusz. Dam mu odwagę i dobroć serca, czego po tobie odziedziczyć nie może.

Zasia. Dam mu pięknie sklepione czoło,

umysł i rozsądek, bo tego po tobie nie może dziedziczyć.

Tadeusz. Dobrą figurę, mocne zęby i zdrowie odziedziczy po nas obojgu. Możemy więc hojnie wyposażyć nowe Indywiduum i dlatego kocham cię bardziej, niż inne.

Zosia. A ja ciebie.

Dołączam swoją fotografię.

Rupieć⁷.

Wkrótce odebrałem odpowiedź:

„Łaskawy panie. Wahałam się długo, czy obrazić się na pana, czy nie. Ale odpisuję, bo lubię pisać. Nie mówię, abym bez pana żyć nie potrafiła, ale nie mówię, abym nie mogła żyć z panem. Nie mam odrazy do pana, a ostatecznie trzeba zdobyć sobie jakieś *pied à terre*, bez którego przy dzisiejszym ustroju kobiecie dość trudno. Zresztą może z panem mniejbym się nudziła, a gdyby jeszcze to Indywiduum...

Ale nie wierzę panu. Musiałby mi pan dać pewne gwarancje. Mam upodobania, nałogi, które są dla mnie drogie i wątpię, aby je można, było czem innem zastąpić! Jeżeli pan poręczy indywidualność moich przyjemności, nietykalność moich pragnień, gotowam wziąć pana za męża.

Fotografia pańska — szkaradna. Niech pan ją spali. Pański przyjaciel ludzkości nie byłby z niej zadowolony.

Helena“.

Niezwłocznie stawilem się przed nią. Siedziała w salonie, pomiędzy filodendronem a fikusem, czytając książkę. Gdy wszedłem, wstała i, bawiąc się liściem figowym, rzekła:

— Bajecznie, że pan przyjechał.

— Musiałem... Musiałem... i gotów jestem poręczyć indywidualność pani, ale po wyjaśnieniu...

— Jakiem?

— Niech pani sama oznaczy granice tego pojęcia.

— W małżeństwie zawsze coś musi pozostać nieokreślonym—rzekła.

— Chcę granic, chcę granic!

— Trudno tak... Ananke—jak pan mówi.

— W takim razie—rzekłem głucho—niechaj mnie pani upoważni.

— Do czego?—rzekła ciszej, miękko, widocznie przełęczniona moim wzbierającym tonem i gorączką w oczach.

A ja miałem krew w głowie i dzikość w słowach. Chwyciłem ją za ramię.

— Abym, jeżeli za daleko pójdzie, abym chwycił cię za te kasztanowate włosy i jak Magdalenę—tarzał!

Przyciągnąłem ją. Nie bronila... ust. Odczuła szczerotę chwili i była szczerą.

.

Nazajutrz otrzymałem list.

„Wyjechałam... szukać wiewiórki. *Adieu*. Helena“.

Przebolawszy... stratę, przyszedłem do wniosku, że miała słuszność i że nie bylibyśmy dla siebie. Swoją drogą mam przecucie, że się jeszcze spotkamy. Czy to będzie Traf czy Przeznaczenie? Dzisiaj mówię, że spotkanie z nią będzie Trafem, wtedy zaś, gdy ją spotkam, powiem, że było to Przeznaczenie.

IX.

Rezurekcya.

Wielka Sobota. Kilka tygodni temu wiatr północny dał, a wilgotne płachcie śniegu smagały mi twarz. Zima siedziała, męczyła. Nocami było tak ciemno i zadymno, że zdawało się niepodobnem, aby przez tumany mógł przedrzeć się dzień. Przychodził wszakże; posepny, ołowiany, gorzki, niosąc letarg i martwość. Wróble były o zaspane szyby, zające i kuropatwy chodziły po ogrodzie; z kurami i ptactwem domowem kumały się wrony. Burek w kącie leżał skulony, w półdrzemce, a chociaż wstał, to przeciągał się leniwie i nie kręcił ogonem. Ja zaś, nie mogąc doczekać się wiosny, zupełnie opadłem z energii. Jak kochanek, któremu, gdy przyszedł na miejsce spotkania, kochanka zbyt długo kazała na siebie czekać. *Der Spiritus ist entflohen, das Phlegma ist geblieben!*

Przyszła... ta wiosna i cóż dała? Trochę miedzików *de la petite monnaie*, mógłbym za nie kupić pierników ku pożytkowi zdeprawowanego już nieco żołądka. Słońce jest coś za blade, niebo za chmurne. Wiosna z każdym rokiem psuje mi się. A ty, miły chłopcze, pragnęłaś krążków z promienistego radium, za które kupiłbyś świat? Żarty miły chłopcze!

No more, no more!...

Już nigdy, nigdy! nie padnie mi rosa,
Ta świeżość serca, która z kwiatu, kłosa,
Z widzialnych rzeczy wyciąga i bierze
Uczucia pełne woni, zawsze świeże,

Zawarte w piersi, jak miód we woszczynie...
 Czy powiedziałbyś, że miód z rzeczy płynie?
 Ach nie! nie one, twoja własna siła
 W dwójnasób słodycz kwiatu powiększyła.

Byron.

Twoja własna siła? Aha... chwila, gdy zjawia się pierwsza tęsknota po młodości, jest śmiercią młodości... Trzeba powiedzieć sobie, że się jest *au delà du Rubicon*, trzeba czekać na fatalne Idy i paść od czterdziestu czterech chorób u stóp tryumfującej Ludzkości. No... ale umrzeć cezarem.

Rozwiódźmy się więc, cudna damo w sukni ceszarowej ze srebrnymi gwiazdami, w różowych pantofelkach, w loczkach, filutkach, figlikach występująca. Rozwiódźmy się, Nadziejo, młodych czarownico. Pożycie nasze jest już nie do zniesienia. Kląniamy się sobie oboje. Nie kochamy się. Opuuszczam cię. Oddaję ci wszystkie złudzenia—weź je z sobą. A mnie zaś pozostaw zasuszone kwiaty — niezapominajki. Tych — pomimo wszystko — nie oddam.

Niech pamiętam, że można mieć bezgraniczne zaufanie do ludzi. Czuć zapach róż tam, gdzie butwieje padlina. To pięknie.

Niech pamiętam, że można ślepo kochać wszelką żywą formę. Dopóki nie przyjdzie samopoznanie i nie powie: „Jesteś inny“. To pięknie.

Niech pamiętam, że był poranek słoneczny, i grały złote harfy. Że były noce parne ekstazą i szałem, w które poczynały się nowe jestestwa.

Niech pamiętam... niech zapomnę, że to nigdy, nigdy nie wróci.

No more! no more!

Może na umór—*mademoiselle Chartreuse, veuve Cliquot, madame Benedictine?* Kilka razy upiłem się, no i stałem się arcy śmieszny, figurą zwaną pospolicie *cochon triste*. Nie chcę. Filozofia alkoholu jest taka, że ludzie powinni się ścisnąć i całować, a jeżeli w krainie Bachusa usiądzie smutny jegomość, jest to źle wychowany wścibiec, psujący nastrój. Z drugiej strony taka miłość bakchi-czna właściwie jest tylko nominalną. Oto, co mówi o tem odźwierny z Makbeta: „Wielkie picie jest przeniewiercą względem miłości, bo ją rodzi i uśmierca, podżega ją i ostudza, pociesza ją i odpycha, słowem, daje jej egzystencyę, ale bez konsystencyi“. Mniejsza o konsystencyę czy egzystencyę — nie lubię pić i dopiero to jest argumentem.

Rozumiem, że ci, którzy upijają się, znakomicie ułatwiają sobie życie. Jest to chwilowa amputacya mózgu, który, według trafnych słów jednego z mędrców, jest pasożytem, rakiem organizmu. Ów rak często prowadzi ciało do obłąkania. Pijaństwo jest z pewnego punktu widzenia samoobroną organizmu. Wprawdzie pijaństwo doprowadza ludzi do zanku czucia, do delirium, ale pewnego rodzaju umysły, jak się zdaje, muszą się zdecydować na Scyllę albo na Charybdę.

Więc cóż?

Trzeba wydobyć z głębi siebie, z serca, zrozumienie, że po za nami jest coś, co jest konieczne, a zatem niezrozumiałe, coś, co trzeba kochać i zarazem nienawidzić, czem trzeba pogardzać i za czem trzeba szaleć, co, co jest blekotem, kwiatem jadowitym, z którego można zbierać miody, coś, co jest górą, zwałem lodów, a da się stopić na wrzą-

tek pod żarem świadomości. Trzeba rzec Prometeuszowi: „Dziecko jesteś, bo chcesz zmienić świat“. Trzeba rzec Syzyfowi: „Bezradny jesteś, oto stękasz pod ciężarem.“ Obiedwie te formy stopić w jeden kształt i zyskać Archimedesowy punkt oparcia. Oto pogląd na świat, oto filozofia Konieczności.

Nie wyssałem jej z ksiąg, z pisanego słowa. Wziąłem ją żywą, drgającą, w krepę myśli, z płaszczyzny, pochyłającej się ku głębiom Bałtyku, z tego starego usypiska mórz północnych, zwanego Mazowszem. Wziąłem ją z łysin piachów dziarnistych, z bielie rodzących pszenicę, z mokradeł, torfów, oparzelisk, z brzoź pochyłonych, rakowatych wierzb, garbatych sosen, prostych, urodziwych olch, z maków ponsowych i żółtej dziewanny. Wziąłem ją z plemienia, niewiadomo z jakiej krwi powstałego i ustalonego, które skąpa ziemia karmi ziemniakami i kwaśnem mlekiem, a które pleni się jak grzyby. Wziąłem ją od plemienia, nie znającego sentymentu, liryki, od ludu dramatycznego, głębokiego jak morze, obdarzonego wielką zdolnością do refleksyi, byleby miał swą miarkę czarnej mąki, zacieklego i upartego.

Mazur jest to „*psia dusza*“. Oto jego kares i jego światopogląd. Takie krotoczwile jak: „niech cię dyabli“, „psiakrew“, mówi się, aby upuścić żołci, ale „psia dusza“ jest to to, co Słowacki nazwał „gryźć sercem“.

Widzisz, bracie, kundln jeden i koltunie, podchodzisz, cyganisz, łziesz, manisz, jesteś—pies, ścierwo. Ale, ponieważ rozumiesz to, czem jesteś, więc masz duszę. Razem jesteś „psia dusza“.

Jest to czysty <http://kain.org.pl> dualizm, który, jak się zdaje,

jest niezbędnym warunkiem zdolności rozwojowej plemienia, bo ostatecznie w walce ras i plemion rozstrzygają zwycięstwo ich światopoglądy. Nauczyć się robić telegrafy, koleje, balony, armaty, pancerniki, torpedowce—może jedno pokolenie. Ale chcieć się tego nauczyć, to inna sprawa. *Velle non discitur*. Chcenie wynika z istoty umysłu naszego, z naszej filozofii życiowej.

Ale powracam jeszcze do „psia duszy”.

Ja. Antoś! co byś wolał: czy zjeść kielbasę, czy dostąpić pogawędki ze świątobliwym pustelnikiem?

Antek. Ano! pożarłym kielbasę, a potem zaszedłbym do pustelnika.

Ja. Ale co byś wolał?

Antek. Pożarłbym połówkę, a połówkę zaniósłbym pustelnikowi.

Ja. Targujesz się, psia duszo!

Antek. Tobym splunął na kielbasę! Wielgie rzeczy!

Ja. A gdyby ci się chciało mocno jeść?

Antek. Co to byłby za święty, aby mnie głodem morzył!

Otóż w taki sam sposób rolę, jaką odgrywa w życiu kielbasa, i ta, jaką święty Antoni, rozumie szaraczek z pod Mazowiecka, kurp z pod Myszynca, spory metafizyczne prowadzący księżak z pod Łowicza, czeladnik rzemieślniczy z Płocka, andrus warszawski, roznoszący dzienniki—„czwartak”... Taki sam ostry, krytyczny, drwiący pogląd na zjawiska, a namiętne, silne, niewyparte poczucie duszy czyli niezmiennalnej, władczej istoty zjawisk. Wyprowadzajcie wnioski, jakie kto chce! Są liczne—oto

jeden: „Warszawa ma temperament”— mówią przybysze z południowych miast polskich. Tak jest: Warszawa ma temperament. Powinna wszakże zdobyć coś jeszcze, co równie jest pożądane—myśl.

Nie piszę dlaczego, ale piszę, jak jest. Otóż tak zwana inteligencya warszawska może więcej czyta, ale mniej uważa i rozważa, niż tak zwane sfery inteligentne, czyli w gruncie rzeczy jest od nich mniej inteligentną. Inteligencya ta jest nawskroś handlową; zajmuje się importem *ab ultima Thule*, aby w dalszym ciągu eksportować towar na prowincyę, gdzie ludzie powtarzają do siebie nieśmiało: „Szanowni panowie, cóż wam uczyniliśmy, że drwicie z nas”? Inteligencya ta, z małym wyjątkiem, nie pracuje twórczo; żywotne warstwy narodu już ją myślą wyprzedziły.

Dzisiaj Warszawa umysłowa jest Pocięjowem, zawałonem błędami encyklopedystów, Hegla, Fichte, Comte'a, Milla, Spencera i t. d. Piszę „błędami“, bo „prawda“ pozostała w ojczyźnie tych myślicieli.

Dzisiaj rano byłem w parafii na Rezurekcyi i wszyscy moi—baby i chłopci. Pozostał tylko w domu Burek, którego skłoniłem do rezygnacyi, opowiedziawszy mu awanturę z powodu pomnika Dygasińskiego. Polizał mi więc rękę i nie napierał się.

Procesya wyszła z kościoła o wschodzie słońca. Wstało czerwone—wicher był, ten ciąg wiosenny, przeganiający walne chmury. Zamiatał, pędził, zaginał chorągwie, sukmany, spódnice. Wiosna zmagala się z zimą. Od czasu do czasu padała w twarz ostra kasza, jak szpilki.

Powracałem pieszo, bo stangreta Antka puściłem na mszę. Ludzie, jak zórawie, ciągnęli do dom.

Zośka powracała bryczką, a wioził ją po kawalersku pisarz Kozik. Ona, z niebieską parasolką, w czarnem paltku, w żółtej sukni, rozsiadła się szczęśliwa i rozkoszna, bo oto mija idących, jak pani. Błoto bryzga. Kozik trzaskał bacikiem. Obrzydliwe chłopisko! Wysoki, wyginany kołnierzyk (to mój) wpijał mu się w kark, ukazując od przodu ogromną chamską grdykę. I to jest mój rywal! Zemszczę się na Zośce. Ożenię ich z sobą.

Cisza... w podwórzu cisza. Bydłątka ryczą, bo dzisiaj święto ludzi: one poszeżą.

Musiałem zgwałcić ciszę. Pod wieczór wypadło posłać do apteki.

Antek zjadł odrazu całą rodzinną kielbasę, podobno trzy łokcie, i zaniemógł.

Zośka zagrała z Kozikiem w jajka „na wybitkę“. Jest to stara i dobra gra, tak stara jak i kraszanki. Szermierze uderzają czubkami jajek, stłuczone należy do pogromcy. Kozik wygrał mendel i natychmiast go zjadł. Zatknał się. Prócz tego i inni. Przeżarły się moje „psie dusze“.

Rozdałem przeszło kwartę *oleum palmae Christi*, czyli rycinowego.

Zdaje się, że naprawdę to nie potrzebował go tylko Burek, który jest atarakcyonistą, stoikiem.

X.

Labor vincens.

Zdarzają się piękne, gwieździste noce majowe, gdy wieje ciepły, południowy wietrzyk, a żaby

grają na wiele chórów. Ludzie śpią, Burek drzemie, a ja wychodzę do ogrodu, pomiędzy swe ukochane, ogromne, bujne świerki. Szum ich lekki i dyskretny jest mi przygasłem echem życia. Wsłuchuję się, wczuwam w drzenie i w szelest ich gałązek, i zdaje mi się, że poznaję duszą nieziemskie tajemnice, niedostępne dla mnie w chwilach, gdy jako jeden z milionów, pospołu z gromadą ludzką walczę o *panem et circenses*.

O samotności! przywileju królów. Jesteś mi kąpielą ożywczą, spowiedzią niepokalaną w swojej szczerości, chlebem i winem. Wyżarta kurzem życia myśl orzeźwia się, a wyobraźnia zaludnia szeregiem kształtów jasnych i potężnych prostotą. Jestem królem, tylko nie mam ciężaru korony. Jestem więcej niż królem, bo otom bezpieczny, i żadne jestestwo nie stanie przedemną z chorągwią buntu.

A jednak te godziny królewskie nie są niczem, tylko wielkim, bezbrzeżnym smutkiem. Ale smutkiem, który nie zawiera w sobie bólu, smutkiem, który się kocha, jak najdroższą własność, smutkiem, graniczącym z rozkoszą. Z chwilą, gdy człowiek dorasta do refleksyi, ukazuje mu się niezmierna głębia własnej duszy; dostrzega tam z przerażeniem mnóstwo najróżnorodniejszych uczuć, tak z sobą powikłanych i splątanych, że niepodobna żadnego z nich na czyste wydzielić. Nienawiść, złączona z miłością, duma z pokorą, nadzieja ze zwątpieniem, ból z rozkoszą. Granice wszystkich nieoznaczone... Tak, jak w świecie fizycznym. Zamarzała mi dłoń, i oto czuję palące gorąco. Strach mnie przykuł do miejsca, pozbawiając zdolności ruchu,

abym za chwilę skokiem Ajaksa przesadził Niagarę. To zabawne. Psychofizjologia jest najpiękniejszą z nauk, jeżeli tylko jest nauką.

Patrzę w przeszłość swoją. Ogarniam czas i przestrzeń, które przeżyłem i mam wyraźne uczucie niesmaku. Wychowano mnie, uczono przy pomocy kilkudziesięciu pedagogów, wydano na mnie sporo tego, co się nazywa kapitałem, po to, abym miał prawo wynosić się ponad innych. Nie dałem za to społeczeństwu nic, żadnych wysiłków, żadnych potów, żadnych poświęceń. Okradłem je poprostu na kilka tysięcy rubli, jeżeli wolno zamieniać płuca nauczyciela na monetę brzęczącą. No... mógłbym dać społeczeństwu... echa Byrona, *Weltschmerz*, może — czterdzieści cztery i piękny kontenans nieposzlakowanego w enocie światowej gentlemana.

Z drugiej strony, czyż mam być tylko oskarżonym, a nie mam prawa wystąpić w roli oskarżyciela? Jestem takim, jakim musiałem być w danych okolicznościach. Nie jam winien, lecz otoczenie. Cóż winienem, że „świat wyszedł z formy, i mnież to trzeba wracać go do normy?“ Cóż winienem, że przyszedłem na świat w wieku bez miłości, który nie postawił, ale wszystko zburzył?—słowa Asnyka. Zmrożony kwiat czyż może wydać owoc? Będzie gorzki, albo wcale go nie będzie.

Myślę, że żaden trybunał nie rozwiąże tego zagadnienia. Ani ja sam. Czyja wina? Do końca życia skazany jestem na niepewność i niema na to rady. Zresztą ta niepewność bynajmniej nie nosi w sobie zgaszenia duszy. Cały dalszy ciąg zależy odemnie. Jeżeli mam sumienie wygodne, to powiem: „Wszystkiemu winno społeczeństwo i okoliczności, nieszczę-

ście moje kwituje mnie ze wszystkich zobowiązań", wywieszę chorągiew „indywidualizmu" i stanę się albo wspaniałym struglerem *for life*, albo estetymanem z gatunku Płoszowskich. Jeżeli mam sumienie gorzej trawiące, to pomimo wszelkie rozumowania pamięć długo, coraz głębiej odciskać się będzie w myśli mojej i w końcu, *volens nolens*, muszę przystąpić do jego likwidacyi.

„*Good morrow masters put your torches out!*"

Szekspir.

Dzień dobry, panowie, zgaście pochodnie.

Wielki już pierzebły, jasny idzie dzień.

Gwiazdzista noc majowa mówi mi, że dla mnie jasnym dniem jest praca. Jest mi możliwie najwyższym wymiarem szczęścia—bo prowadzi do spokoju. „*Et la paix vaut encore mieux, que la vérité* — rzekł Wolter. (Spokój wart jeszcze więcej, niż prawda).

Jednym z obrazów współczesnych, który silnie wraził się pamięci mojej, jest obraz Ruszczyca, nie wiem nawet jak zatytułowany przez malarza. Dwa woły wyciągniętymi strunami grzbietów ciągną pług. Odwalone skiby muszą być ciężkie, widać to po wysiłku karków. Nad polem wisi chmura czarna, brzuchata. Niewiadomo czem się rozwiąże za chwilę: ulewą czy gradem? W każdym razie to chmura zniszczenia.

Malowidło jest potężnie piękne. Jest rozwinięte w symbol—rodzi myśl. A myśl ta jest szczególnie droga współczesnym pokoleniom—w chwili gdy miliardy wyciągają ręce po swoją miarkę chleba.

Obraz ten możnaby podpisać: „*Labor vincens*"

(Praca zwycięska). Trafnie możnaby podpisać „*Labor victus*”. (Praca zwyciężona). Paradoks? Nie, tylko dwa punkty zapatrywania. Praca, pojęta jako wysiłek, jest niezniszczalna, wieczna i zawsze zwycięska. Praca, pojęta jako skutek wysiłku, jako fakt fizyczny, podlega wszechwładzy czasu, jak wszystko. Próchnieje. Oba te woły Ruszczyca padną w jarzmie, to nie ulega wątpliwości; łan, przez nie zorany, może stłuc grad, zbić ulewa, ale wysiłku ich nie unicestwi. Jest oż tem, co Platon nazywa „*ontos on*”, tem, co rzeczywiście istnieje. Dlatego przedstawia potężny temat dla sztuki.

Pojęcie pracy jako wysiłku, jako „*labor vincens*”, jest może najpiękniejszym i najobszerniejszym pojęciem, jakie stworzyła sobie ludzkość. Pomyślmy, że do oceanu tej idei wpadają wielkie rzeki pracy umysłowej, pracy czuciowej, pracy fizycznej. Pomyślmy, że jest ona jedynym środkiem przeciwko głupocie ludzkiej, która, ilekroć ludzie mają za wiele czasu, wzbiera w zatrwajający sposób. Pomyślmy, że jest ona jedynym sojusznikiem idei moralnej, która bez niej narażona jest na sofistyczne szturmy rozbestwionego stada. Lada dzieciół o zielonem podgardziółku gotów błaznować Nietzschego, poczynając na własną rękę „Przeszacowanie wartości”.

Ale już w starożytności zdarzyło się, że ucztę, przygotowaną przez Odysseusza, skaziły pomiotem brzydkie ptaki Stymfalidy. I czystemu pojęciu „praca” przydano przymiotniki „organiczna”, „produkcyjna” i t. d., słowem związane je z pojęciem „użyteczność”, pojęciem nawskroś względnem i nie do ustalenia. Wygląda, jak gdyby *patres conscripti*

obawiali się, że rozentuzyazmowana więkazość społeczeństwa będzie szyla buty... dla mieszkańców Marsa lub Uranusa, zapominając o sobie.

Zakrawa to na bolesną ironię. Mam przekonanie, że mało istnieje społeczeństw, któreby z taką szczerą przyjemnością hołdowały utylitaryzmowi, jak nasze. Mało jest społeczeństw, któreby posiadały taką małą zdolność do oderwania się od doraźnego, osobistego interesu, od chwili terażniejszej. I do prawdy śmiesznem jest pomawianie tego społeczeństwa o zapędy idealistyczne, bojaźń, aby się nie zapracowała „nieprodukcyjnie”.

Ono dotychczas uważa pracę za zło konieczne. Powiada, że najużyteczniejszym — jest mało robić i mało myśleć, w poczuciu, może słusznem, faktu, że w takich warunkach najpomyślniej idzie rozwój ilościowy, to jest rozmnażanie się. Uczenie ludzi utylitaryzmu jest równie potrzebne, jak zaprawianie lisów do łapania kur.

Jeżeli zaś ktoś przykładą wagę do jakościowego rozwoju społeczeństwa, te wszelkie segregacje pracy na „organiczną” i „nieorganiczną”, na „produkcyjną” i „nieprodukcyjną”, są rzeczą czezą, a nawet mogą być szkodliwą. Trzeba powiedzieć po prostu, że wszelki wysiłek jest osobistem dobrem jednostki, dobrem największem z możliwych, względnem wprawdzie, ale bezwzględnych niema. Z zadowoleniem, odczuwanem po wysiłku nie da się porównać żadne inne ani pod względem pogody, ani pod względem trwałości.

Zdolność do odczuwania tego rodzaju rozkoszy idzie w parze ze zrozumieniem i wczuciem się w Kartezyuszowskie „*Cogito, ergo sum*”. Tego

uczył społeczeństwo Aleksander Świętochowski, ale, niestety, trafił na opokę, którą skruszyć mogą widocznie tylko fale wieków. Oczywiście, że to nie zmniejsza zasług tego fenomenalnego u nas człowieka.

.....

Potężna czaszka Emila Zoli miała i wydała wizye potężne. Był poetą na miarę tych, o której pisze Goethe:

„Kiedy natura zimno, obojętnie
Na pasmo życia swoje nici zwłóczy,
Bezlądna masa wszechstworzenia wstrętnie
Dzikim rozgwarem huczy,
Któż te szeregi nieskładnie podzieli
Tak, aby ruchem rytmicznym zadrgały,
I któż jednostkę do całości wcieli,
Stwarzając akord wspaniały?

.....

To siła ludzka zaklęta w poecie...

Zola czuł ten „rytm szeregów nieskładnych”, Utkwiła mi w pamięci ostatnia stronica jego powieści „L'oeuvre”.

Przyjaciele powracają z pogrzebu artysty, który padł pod ciężarem swojego „Dzieła”. Powrót taki bywa cichy, niemy, jak rozmowa dusz. Oni, przyjaciele zmarłego, Santoz i Vedrine, nie mają nic do powiedzenia ani sobie, ani wesoło szczebioczącemu Paryżowi, prócz słów:

„Pójdźmy pracować”.

Mam inne wspomnienie, jeszcze silniejsze, bo własne, przeżyte.

Matka umarła... moja matka. Niezmierna żalność zmniejszała się przez to, że musiałem baczyć na ojca. Przeżyli razem trzydzieści lat. Przenikałem go; dusza jego roztrącała się o puste dla niego ściany domu. Zawarł w sobie rozpacz, niemą, zacieklą... milczał. Żołnierzem był, nie umiał płakać. Jeżeli grób milczy, czemuż człowiek ma go znieważać słowem?

Całą noc popogrzebową nie spuszczałem go z oka. Nie spaliśmy obaj. On położył się nierozebrany na łóżku, palił tytuń, od czasu do czasu wstawał, chodził po pokoju. Ja w drugim pokoju, obok, wsłuchiwałem się w szmery, stamtąd dochodzące. Młodość przemogła, nad ranem zdrzemnąłem się.

Zerwałem się, słońce już poszło w górę. Ojca w domu nie było.

Dzień był wrześnieowy, pogodny, ale nieco przenikliwy. Drzałem... niewyspany, przeczulony. Zastałem ojca w polu.

Z przewieszonemi przez ramię białemi płachtami sieli pszenicę: ojciec i dwaj chłopci. Ojciec szedł pierwszy, prosty, ruchem suchym, energicznym, rzucał ziarno, chłopci za nim, pochyleni nieco, niezdarni, ale podążali. Doszedłszy zawrocia, wszyscy trzej skupili się u worka, aby nabrać ziarna.

— Mój synu, wróć do śpiechlerza, niechaj pszenicę lepiej doczyszczą. Jest jeszcze trochę chwastu. Nie trzeba ziemi oszukiwać—rzekł ojciec.

I wszyscy trzej stanęli w szeregu.

O, mój ojcze!

Nie mogę pisać dalej...

Kolegom szkolnym.

Wam, koledzy moi, dzieciaki drogie, towarzysze palanta i ekstry, świadkowie czystych drgnień serca, męczennicy aorystów, „plusquamperfectów“, ekstemporaljów i figur Pitagorasowych, wielbiciele młodych kózek, ubranych w czarne fartuszki, wam, dla was piszę.

Wy, czy mnie pamiętacie? Nie wiem, ale ja was pamiętam, i to mi wystarcza. Ale czemuż mielibyście mnie zapomnieć? Byłem wam zawsze szczerzy, prosty i nie dotknąłem was nigdy fałszem. Biliśmy się, klóciliśmy się, wymyślaliśmy sobie, ale było to, jak chmura, która przychodzi po to, aby urodzić tęczę. A potem... czyż drogi nasze w istocie swojej nie były takie same? czyż chwilami nie ogarniał was wszystkich przygnębiający niesmak życia? czy nie pożądalście gorąco zjednoczenia chociaż w przyszłości, w obrazach i pamiątkach szkolnych czasów, gdy każdy z nas szczęściem własnym pragnął uszczęśliwić całą ludzkość.

O zapewne i wam przychodzą godziny, gdy wpijacie się duszą w słowa Goethego:

Patrzę na *dzisiaj*, jak na senne dzieje, —
Z tego, co było, rzeczywistość wieje.

Wam, koledzy...

.

Gdy praca nie jest mi nagła, a pogoda piękna każę siodłać karego i jadę do miasteczka, gdzie przebyłem czas gimnazyalny. Burek ze mną; popiesza za koniem, nadzwyczajnie kręcąc ogonem.

Rozumie, że dzisiaj dla mnie uczta, więc dumny jest, że go do niej dopuściłem, i szczęśliwy.

Oglądał stary, o grubych murach pojezuicki gmach, gdzie przez dziewięć lat zaprawiano mój umysł. Gmach ten sam, dali mu okna nowe, drzwi pomalowali. Ludzie mnie nieobchodzą.

Obok była dawniej wędliniarnia, dziś jej niema. Chodziliśmy tam na wielką pauzę po serdelki i podgarlankę. Sprzedawała dobra babina na „kredkę“, a właściwie na „pamięć“, bo nie umiała pisać. W końcu kilku zarwało ją, sama nie wiedziała kto, okazał się niedobór i właściciel babinę wypędził. Tadeusz, najuboższy z kolegów, który zbierał składkę na jej rehabilitację, mówił z właściwym sobie humorem: „Przecież w arce Noego musiały być i świnie“.

Tadeusz już nie żyje, zmogła go naprzód bieda, a potem, gdy dostał się do chleba, było zapóźno. Stracił zdrowie. Pamiętam go mówiącego ironicznie do „kowałów“, w których czuć już było przyszlých zjadaczów chleba: „W każdym razie, mój kochany, nie martw się; jeszcze możesz dostać patent“. Pewnego razu jeden z kolegów obmówił drugiego; Tadeusz z własnego popędu poszedł po tamtego i tak energicznie i bezwzględnie natarł, że ten odwołał. Nigdy w życiu potem nie zdarzyło mi się spotkać równie pięknej i dumnej duszy. Takie postaci wolno tworzyć tylko życiu i... Szekspirowi, innym pisarzom dzisiejsi nie daliby wiary.

I gdy porównam taki żywy, granitowy cios przyrody z łapserdackimi duszami nowoczesnych modnych bohaterów, chciałbym krzyknąć: „A idź-

cież błazny do cyrku i sprowadzajcie dziką gawieź, aby was oklaskiwała!"

Ale po co krzyżeć? Z wyjątkiem zdobycia przez żydów Jerycha, historia nie wskazuje żadnego faktu, gdzieby wrzask na co pomógł. A i ten szturm Jerycha niepewny: podejrzewam jakoweś szachrajstwo.

Mój kary niesie mnie poza gimnazyum, na urwisko, spadające ku Wiśle. Tutaj w ligustrowych i cierniowych grotach, nogom sfatygowanym niedostępnych, uczyłem się gruntownych zasad puka i preferansa. Pewien nauczyciel, odkomenderowany do moralności uczniów, dostrzegłszy coś podejrzanego, chciał spełnić obowiązek. Ale spadł i srodze się potłukł.

U nóg urwiska płynie Wisła. Gdy przyszły lody, puszczałyśmy się szlichtadą na złamanie karku. Pewnego razu dopuściliśmy do wycieczki kilka kózek z gimnazyum, ale się źle skończyło. Dostrzeżono, panienki klęczały białymi kolankami na grochu, a my siedzieliśmy w kozie. Za co? — nie wiem.

A tu ogród, ocieniony kasztanami, gdzie siadywaliśmy na ławkach, oczekując na spacerujące żywe „pociągi”. Dziewczyny zerkaly na nas, a my na nie; ale „nie nie było między nami”, tylko lubiliśmy się bardzo może dlatego, że nie mieliśmy wzajem żadnych określonych żądań... Starsi jednakże, bardziej uświadomieni, pisali już listy. Listy te pisałem dla nich ja. „Najdroższa pani” „ukochana”, Ania, Józia, Zosia, Stasia, Maryla i cały kalendarz. Koledzy czcili moje pióro bardziej, niż teraz publiczność, co mi pochlebia. Wi-

docznie listy były dobre, bo był na nie popyt. Od siebie nie pisałem. Wprawdzie i dla mnie była jedna „Ona”, ale uciekałem od niej i bałem się. Od dzieciństwa posiadam trafne instynkty.

Odwiedzam i wielki plac, wielkie błonie, gdzie w soboty i niedziele gromadnie grywaliśmy w palanta. Dziś plac zabudowany, stoją koszary, musztrują się żołnierze. Przechodziły klasy, a często były boje o lepsze miejsce: „pod słońce”, czy „ze słońcem”. Przyszła piąta klasa z krzykiem bojowym: „Piąta klasa — same chwaty, szósta klasa — same gnaty”. Przyszła szósta i śpiewała. „Piąta klasa — same gnaty, szósta klasa — same chwaty”. Przyszła siódma z pronuncjamentem: „Piąta szósta—groch kapusta, siódma klasa — same kwiaty”! Często grywał z nami nauczyciel łaciny, stary S., bardzo ceniony od uczniów dla sprawiedliwości, gdyż własnemu synowi zatrzymał był promocję. Zdejmował surdut koloru tabaczkowego i był w palancie przykutą, czyli inwalidem, bo jako brzuchacz i sapala biegać nie mógł.

Wracaliśmy o zmroku, zziajani, biali od pyłu, z piachem w ustach, uszach i nosie. „Młodości, ty nad poziomy...” — i szła młodość, wymachując dębczakami, palantami.

W dni powszednie nie było czasu na palanta. W ciasnych podwórkach miasta grywaliśmy w dołki, w zbijaka, w ekstrę. Ale grywali tylko namiętniejsi, ci, którzy zdolni byli do nadstawienia i poświęcenia własnej skóry, słowem: idealisci. Należałem do nich, ztąd matka uskarżała się, że nie może mi nastarczyć spodni. Z owych czasów pozostała mi na całe życie pogarda dla tego miękkie-

go terytoryum ciała ludzkiego, które nowocześni juryści uważają za *sanctissimum*.

Gdyby wszakże ktoś rzekł mi, że praca rąk, nóg *et caetera* przeszkadzała głowie, to bym mu odpowiedział: „Szanowny panie, młodzieży przede-wszystkiem potrzeba dwóch rzeczy, t. j. czystego powietrza, aby krew dobrze chodziła po mózgu, i dobrego serca nauczycieli, aby dzieci wstydziły się zasmucać ich swoim lenistwem. Bądź co bądź, nauka szkolna jest zawsze przymusem, a ponieważ żądza wiedzy, jako pobudka, zwykle zjawia się dość późno, źródłem przymusu skutecznego może być tylko uczucie. W takich warunkach dla młodzieży niema nic trudnego. Patrząc dzisiejszem okiem na kolegów swoich, wnioskuje, że nie było między nimi ani jednego, którego nie można byłoby rozwinąć“.

Grywaliśmy, ślęczeliśmy, czytali, kłócili się, dysputowali!

Podczas pauz był gwar. Z ławki do ławki biegały kwestye: czeska, irlandzka, bałkańska, pozytywizm, Darwin, orangutang, plusquamperfectum, Napoleon, homunculus zrobiony w retorcie, perpetuum mobile, emancypacja kobiet. Tysiące idei rwących się do życia! Eheu! ileż z nich dla nas umarło?

Wchodził nauczyciel M., Niemiec, kaleczący obce języki, a gdy wrzask nie ustawał, przemawiał śpiewnym głosem:

— Dziwne jest, że uczniowie szóstej klasy...

Wrzask się wzmagal: Uhu!..

— Bolesne jest, że uczniowie szóstej klasy...

Śmieszny był dla nas ten bardzo wykształco-

ny zresztą człowiek. I nie było na to rady. Estetyzm zabija refleksję. Śmieszność jest idiotyczną siłą, brutalną, nieodpartą. Człowieka ogromnie cieszy pogńębienie rozumu: przekłada operetkę nad dramat. Chwila, w której składa z siebie ciężar rozumu, jest dla niego niewysłowienie powabna.

Pewnego dnia, na ulicy, posprzeczałem się z jednym z kolegów o to, czem jest pozytywizm. Jużśmy gotowi byli rzucić się na siebie z pięściami, gdyśmy dostrzegli jednego z lubionych nauczycieli. Pobiegłem do niego gorąco:

— Panie profesorze, co to jest pozytywizm?

— A umiesz ty na jutro *consecutio temporum*?—rzekł przyjaźnie.

— Wiem, wszystko umiem — rzuciłem z zapalem.

— Tak? to chodź, opowiem ci.

Wziął mnie pod ramię i poszliśmy.

Z tych czasów mam niewielką, ale piękną bibliotekę, kilku wielkich przyjaciół, którzy do dziś dnia nie odstępują odemnie. No, czytało się co innego. O Izabeli hiszpańskiej, Eugonii francuskiej, o Margueritte Valois, o towarzystwie „Latającej pętlicy“, o Santa Madre, o królowych, manolach i ciemnych, djabelskich nocach. Krew odpływała z mózgu do bieguna miłości. Patrzyło się na dziewczęta z kuchni, i przychodził na myśl braciszek Józef Serrano w śpiączastym kapeluszu, uganiający się za piękną Dolores, która nie mogła była znieść jego czerwonych włosów.

Ratowała nas piłka... zresztą nie wszystkich.

.....

A ta ucztą popatentowa, ucztą wyzwolenców,

w domku za miastem, nocą czerwcową, w zapachu bzów i kwitnącego żyta. Pamiętacie?

Kolega *pater* Edmund świetnym okazał się gospodarzem. Za dwa ruble od fizjognomii wszystkiego było w bród. Sztufada z makaronem była za twarda, widocznie z jakiegoś „bos primigenius“, ale i zęby mieliśmy twarde.

Przed północą nadciągnęły chmury, przyszedł lekki deszczyk, zrobiło się parno. Pootwieraliśmy okna i drzwi, i stało się jeszcze duszniej. Bzy wtargnęły do niskich izdebek, uderzając na głowy, osłabione już wódką i piwem. Wprawdzie prawie nikt z nas gorzałki nie lubił, ale tem nienawistniej piliśmy dla honoru, więc krople potu osiadły na puszku pod nosem. Niejeden kręcił się niespokojnie na miejscu, jakby się czegoś niedobrego spodziewał.

Kolegę K. musiano wyprowadzić za głowę na powietrze. K. był żydkiem z bardzo ubogiej rodziny i miał zielone zęby. Po raz pierwszy w życiu dostał takiej obfitości potraw.

Kolega Genio, który umiał na pamięć wszystkich marszałków Napoleona i był jego balwochwalcą, chwycił nóż i morderczo rzucił się na jednego z kolegów. Siłą odebrano mu nóż. Potem uspokoiłem go na stronie, przypomniawszy bitwę pod Piramidami i tłumacząc, że bez artylerji niepodobna pokonać wroga, na co się w końcu zgodził.

Kolega, przezwany Goworkiem, który wszelką książkę, poza szkolnemi, uważał jako *gesetzlich verboten*, rozmawiał z innym, zwanym „jezuitą“, kto więcej zarabia: doktor czy adwokat? Naradzali się właśnie, jaki wybrać sobie wydział.

Szkoło brzękło. To B. nasz Don-Kiszot, uderzył

łyżeczką w szklanke. B., będąc w klasie piątej, namiętnie prowadził tańce, w szóstej — organizował pogrzeby, kaptował kolegów do noszenia trumien zasłużeńszych osób na cmentarze, w siódmej—kupił maszynkę elektryczną i robił z nią doświadczenia, w ósmej—zajmował się ekonomią polityczną i socyologią. B. przemówił:

— Panowie. Prawdziwą siłą społeczeństw jest liczba. Już o tem mówił Pytagoras. Tak mówi współczesna socyologia. Rozmnażajmy się. Panowie! dajmy sobie słowo honoru, że każdy z nas będzie miał przynajmniej troje... nie, czworo dzieci. Tak, czworo! Panowie, w imię społeczeństwa, musimy się na to podpisać.

Daliśmy słowo, poczem B. zbierał podpisy.

— Brakuje trzech—rzekł—gdzież są?

Kilku z nas wyszło przed dom. O kilkanaście kroków bielily się jakby dwie jasne sukienki i ciemne sylwetki. Chichotały, szeptały...

— Jesteście?—krzyknął ktoś.

Sukienki znikły.

— Durnie! — rzekł pater Edmund: — w takiej chwili pójde po nich.

— Nie chodź—rzekłem—powiedzą, że zazdrościsz.

Ej! jak było parno! Dusilo.

Pater—cofnął się. Uczta umilkła. Przez chwilę stał się odpływ. Coś nam usiadło na mózgu, coś, co oddziela, rozłącza. Kobieta... jak zawsze.

Pod oknem zaśpiewano:

Bo głupi czas
Pożre was!

— Kaftański, Kaftański—krzyknęli wszyscy—
wprowadzić go!

Był to waryat, znany w mieście. Deklamował
poezye cudze i własne, a ulicznicy dla ciężkiego
zółtego kaftana, który nosił zimą i latem, przewali
go Kaftańskim.

Nie bez oporu zdołano go przyprowadzić. Ol,
najstarszy z kolegów i jedyny pośród nas człowiek
bakchiczny, przekonał go wreszcie argumentem, że
on szlachcie i my wszyscy szlachta.

Usiadł na rożku krzesła, patrząc na nas nie-
ufnie. Ale potrochu Ol. go rozochocił; rzucił się na
jedzenie, żarłocznie zasuważąc szczęki. A Ol. mu
dokładał. Kaftański jęczał żałośnie: „Już nie, już
nie!”—ale jadł. Oczy zaszły mu melancholią, a długa
broda ociekała białym tatarskim sosem od szynki.
Najadłszy się, zaczął płakać.

— *Vanitas vanitatum*—powtarzał Tadeusz.
Świtało.

Ol. pijany, pod rękę z Kaftańskim, nie chciał
wyjść drzwiami od sieni. „Ja polski szlachcie!—
krzyczał: — otwórzcie mi wrota!” Musiano im otwo-
ryć bramę.

I inni zaczęli się rozchodzić. Powietrze kładło
zółtą farbę na kilku śpiących, rozciągniętych na
krzesłach. Na podłodze były strugi piwa i kilkaset
niedopałków.

Pater Edmund rachował pożyczone widelce,
noże, talerze i szklanki.

Słońce wstało jasne. Jak złote karpie w sieć, szliśmy na mizerye życia, my, wolne uczniaki, młodzieńcy z promieniejącymi oczyma, *sclavi saltantes*.

XII.

Varsaviana.

Od czasu do czasu muszę odwiedzać Warszawę. Znam dwóch sąsiadów, którzy, mieszkając obok siebie klócili się nadzwyczajnie i nawet mieli słuszne powody do kłótni. Po dłuższej rozłące i zejściu sobie z oczu, spotkawszy się... ucałowali się w oba kąciki ust. Wprawdzie pomiarkowali się i w końcu—rozeszli na zimno, ale poryw był szczerzy. Podobnie dzieje się ze mną: klócę się z Warszawą, a odwiedzam. Szukając sposobu objaśnienia tego zjawiska, dóchodzę do zdania któregoś z Francuzów: „*Le bonheur n'est qu'un rêve, et la douleur est réelle*“, (szczęście jest marą, boleść jest rzeczywistością). Otóż ja staję na gruncie rzeczywistości.

Zwykle mam w Warszawie dwa główne interesy do załatwienia: kupić buty i zobaczyć Frenkla.

Nie każdy but jest dobrym butem, czyli celową ochroną dla nóg. Często bywa przykrą torturą, mogącą usposobić do samobójstwa, a co najmniej do zdenerwowania. Otóż we mnie, gdy byłem niedoświadczonym i estetycznym w klasycznym tego słowa znaczeniu — młodzieńcem, szewcy wmówili dogmatycznie, że każdy but jest dobry, a „noga winna się do niego ułożyć“, że się jakoś rozchodzi. Mimo to wystąpiły bolesne dolegliwości i musiałem przy-

stąpić do „*Umwerthung der Werthe*“. Przykre doświadczenie nauczyło mnie, że moja noga, czyli część mojej jaźni, może się przystosować do środowiska, czyli do przeciętnych 'butów, jedynie pod grozą owych cierpień. Rozumiem, że tak być musi, i nie sarkam; ale niechaj nikt do mnie nie ma pretensyi, że jeżdżę do Warszawy po obuwiu z najdelikatniejszej skórki gemzowej. Oczywiście, że jest to przeczalenie, czyli dekadentyzm—przyznaję.

Co do Frenkla, winienem temu znakomitemu aktorowi wiele przyjemnych chwil, a może i zdrowia. Im człowiek jest starszy, im więcej z Nieuświadomionego jego duszy staje się zdobyczą świadomości, tem bywa dla ludzi wyrozumialszy, prawda, ale jednocześnie i nieuchronnie wzrastają przegrody pomiędzy jego indywidualnością a wszystkimi innymi. Świadomość jest siłą rozłączającą, i na to nie ma rady.

Przypomina mi się Mickiewicza: „Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi”. Jest to nastrój, bardzo charakterystyczny dla natur polskich, chociaż trudno mi się opędzić myśli, że i na dnie tego spoczywa pewna sofistmatyczna obluda. Oto nagiego Tymona, leżącego w pokrzywach, odwiedza świetny Aleybiades w towarzystwie rozkosznej Lamii i słodkiej Glycerii, a Tymonowi, w potokach filozoficznej pogardy, nie jest nieprzyjemne, że ma komu wymyślać. Wogóle dobrze i miło jest mieć kogoś, nad kim możnaby się pastwić — nie mówię, w sposób barbarzyński, ale w sposób całkiem cywilizowany, częstując go usilnie zupką z własnego „ja”, jak ów gospodarz z bajki Kryłowa.

Otóż nie jestem świętym i lubię się... mścić.

Wszystkie łajdactwa, jakie kiedykolwiek szanowni bliźni względem mnie popełnili, zapisałem czerwonym, piekielnym atramentem w księdze buchalteryjnej swojego życia i chciałbym nawet wszystkie je przekreślić, a niepodobna ich wywabić, bo atrament—piekielny. O moich własnych grzechach cudzych nie mam potrzeby ani chęci pamiętania—to należy do pokrzywdzonych. O tak! lubię się mścić! wtedy się odradzam, a dusza skrzydeł anielskich dostaje.

Narzędziem zemsty mojej jest Frenkiel. Udawać człowieka potrafi każdy kiep, ale, aby udawać małpę—na to potrzeba mieć co najmniej duży talent. Frenkiel udaje wszechmałpę ludzką z takim „prestige“, że, patrząc na niego, zdaje mi się, jakbym był praojcem Adamem, stał pod rajska jabłonką, a z tego cudnego drzewa pada mnie prosto w usta owoc poznania. Poznanie—jest moją zemstą: u nóg moich, na podłodze sceny, leży, „bestia triumphans“ pokonana, głaszczę jej gęsie skrzydła, lisie futerko, dotykam kocich pazurów, po żyłach krąży mi odmładzający eleksir, na języku czuję ambrozyę. O zemsto! Wychodzę z teatru promieniejący, jak prawy chrześcijanin; zabiłem monstra przy pomocy Frenkla i już nie będę znęcał się nad trupami, ale krzyknę: „Kochajmy się“.

Szkoda wszakże, że Frenkiel nie ma co grać. Poezya sceniczna doby współczesnej wstępuje w znak komedyi płacziwej. Tę *comédie larmoyante* znano już dawno we Francyi, w czasie, gdy krążyły tam jeszcze *lettres de cachet*, gdy Wolter jadł pstrągi i pił Chambertina z kapucynami, gdy Robespierre ssał mamkę, a Demoulin, St. Just itd. unosili się jeszcze

we wszechświatowym eterze, jako idee, żadne wciele-
 lenia. Wtedy niejaki monsieur de la Chaussé, a i inni
 pisali bardzo wzruszające sztuki, na których pie-
 szczoła Francyi, madame du Barry, rzewnie
 płakała.

Sztuka teatralna moderne ma o jeden pierwia-
 stek więcej. Albo zgrzyta, albo płacze. Ci, którzy
 mają zęby, zgrzytają, ci, którzy nie mają już zę-
 bów — płaczą. Tkwi w niej szczególny rodzaj siły:
vis impotentiae. Taki rodzaj produkcji dobry jest
 dla mikrotalentów, ale Frenklowi brak tam powie-
 trza. Ma za wiele serca artystycznego, aby mógł
 grać z przekonaniem postaci, pozbawione majestatu
 prawdy poetycznej.

Pewnego razu do Warszawy towarzyszył mi
 i Burek. Wziąłem go z sobą, w imię cywilizacji
 i postępu, aby zaznajomić go z którąkolwiek z có-
 rek cnotliwego Asa Dygasińskiego. Ale Burek, po-
 zbawiony zmysłu bezczelności, nie mógł się oswoić
 z wielkiem miastem. Chodził za mną lękliwie, podtu-
 liwszy ogon. Pinczerki, szpice, charciki, ratlery za-
 czepiały go wprawdzie—on milczał. Wreszcie płowy,
 wygolony dog, w potężnym karesie, uderzył go no-
 gą po karku. Burek chwycił go za gardło i prze-
 wrócili się pod nogi przechodzącej damie. Dama
 się przełękła, ale że nie była jeszcze stara, pozwo-
 liła się przeprosić.

Jadę więc sam.

Przybywam wieczorem po moście, łączącym
 Wschód z Zachodem, wydeptanym stopami ludzi,
 koni, wozów, armat. Płoną światła: Stare Miasto
 ciemne, cichutkie, tuli się do dziecka, do Nowego,
 które w blasku łuny drży tętentem, stukiem, kleko-

tem. Nad luną czarna noc, taka czarna, jaką tworzą tylko sztuczne ognie.

Mrowisko rusza się, milion ludzi depcze sobie po piętach, kąsa, targa serca, płacze, szaleje, umiera. Żądze, jak skrzydlate dajmony, fruują bez szelestu i siadają na duszach ludzkich. W gorejącem wnętrzu miedzianego byka Falarysowego topią się tutaj młode ciała dzieci, zanim zwiędną im na czołach wieńce róż i bławatów. Czas trawi tutaj szybko, jak sturamienny głowonóg.

Porywa mnie wir. Dziecko wsi sennej, ukołysane wiatrem polnym i mruganiem gwiazd, budzi się. Czuje naokół siebie wielkie, krwią ociekające serce. Tuli się do niego i szepece „Kocham cię”...

.....

Czy myślicie, wy, duszący się w ścianach i tumanach zarzonego kurzu, że mi dobrze na pięknem, jak powiadacie, łonie przyrody? Wyobrażacie sobie; to parę kochanków stuletnich, Filemona i Baucydę, ogrzewających zimne ciała na słońcu, to Jana z Czarnolasu, siedzącego pod lipą z Urszulką, to może, że kąpię się z nimfami w srebrnych ruczajach, lub splatam warkocz dryjadzie w gęstwinie młodych sosen? Albo, że samowtór bujamy się w hamaku, Amor i Psyche, a łaskocze nas wiaterek przy brzęku pszczołek pracowitych i beku białych baranków z dzwoneczkami?

Ani słowa: jaka to idylla, gdy gęsi gęgają, byki ryczą, źrebce rżą, gawrony kraczą, gdy natura gada nieśmiertelnym głosem! Można się kochać, można filozofować, wedle gustu i możliwości. Ale gdy do myśli zleci się gromada przeszłych, terażniejszych i przyszłych postaci z natarczywem żąda-

niem miłości, to myśl rwie się, maska filozoficzna spada, i znowu budzi się gladiator z wiecznem swojem: *Ave, ave!*

Ave!

Wszystko zależy od nastroju. Poczciwi kmiotkowie! oni stanowią mój nastrój.

Znacie ich—tych poczciwych kmiotków. Przywożą wam masło, zaprawione kartoflami, i mleko z wodą. Wybaczcie im: mają niepoohamowaną wolę do życia i nie bawią się w sentymenty.

Ale może nie znacie ich, gdy zrzucają z pod strzech gniazda jaskółcze i nie umiejącym jeszcze latać pisklętom wprawnie ukręcają szyjki? Może nie znacie ich, gdy przy rzezaniu wieprza zbiega się cała gromada i wpatruje się z rozkoszą w bielmem zachodzące oczy? Gdy, przychodząc z interesem, całuje ręce i nogi, a gdy ktoś to z oburzeniem odtrąci i rzuci im wyraz „bydlę”, to nie odczuwają już głębokiej piękności tego pojęcia! Może nie znacie ich imponującej, chamskiej logiki?...

Ja. Ile żądasz kartofli, przyjacielu?

Kmiotek. To już chyba piętnaście korcy, proszę wielmożnego...

Ja. Za mało. Dam ci dwadzieścia, czy zgoda?

Kmiotek (po chwili). To już niechaj będzie dwadzieścia pięć...

Zamarły Perkuny, Dadźbogi, Łady, Wile. Nowe bogi... jeszcze w pieluszkach.

A jednak trzeba ich kochać! O jakże często wydaje się to ciężkim obowiązkiem! Niewinni! śpiewa chór archanielski.

Ale śni się Tymon w pokrzywach. I grota

skalna, której nie trąciłoby echo szeptu ludzkiego. Jak dzik, wychodziłbym tylko na żer... po korzonki.

Spotkałby mnie wszakże strażniczy w lesie i zapytał: „A masz ty pozwolenie na zbieranie korzonków, włóczęgo?”—I wyrzuciłby mnie z lasu.

W czasach dzisiejszych trudno być nawet pustelnikiem.

Chyba usiąść pod kościołem i żebrać od litościwych osób, które modlą się do Boga o rozmnożenie dobytku lub o wygraną na loteryi.

.....

Po kilku dniach pobytu w Warszawie staje mi się duszno. Pomimo spojrzeń przyjaznych, szczerych uścisków dłoni, czuję się w atmosferze pyłu ołowianego, tamującego mi oddech. Jest mi smutno, ale tym smutkiem, który nosi w sobie potęgę wichru kosmicznego, co wieje bez początku i końca. Innego smutku nie znam, a płaczę tylko w śmiechu.

Wsluchiwałam się w zgrzytliwe nokturny, w dzikie melodye, głębokie jak pieśń zranionej duszy. A gdy mnie znużyło to samopastwienie się, tobym wyśpiewał sobie symfonię, szeroką i rozlewną jak legenda wieków. Niosłaby się woń ogrodów Babilonu, blask złotych pałaców Semiramidy, szept świętych gajów Mylitty z pieśnią wszechodradzającej miłości. Szloch żydów, porzuconych przez Jehowę, zamyślenie Scypiona w Kartaginie, dytyramb trojański Nerona w cyrku, hymny chrześcijan w katakumbach.

I miarowe cykanie olimpijskiego Chronosa.

Pójdziemy, Burku, do lasu. Ty nie wiesz, mój psie, że dawni bogowie greccy zamieniali w drzewa tych ludzi, których bardzo miłowali. Otóż poprosimy pięknie papy Jowisza, aby przemienił ciebie w jałowiec, a mnie w dąb. Wrośniemy w ziemię, słońce ubierze nas w liście i igliwie, i szumieć będziemy cisi, nie krzywdzący i nie krzywdzeni.

XIII.

J e s i e ń .

Czemuż smuć mnie łany pustych ściernisk, różnobarwne korony drzew, owoców dojrzałych grona? czemu przeraża ciehy, pochodny krok jesieni?

Toż mogę stanąć pod dębem i zrywać żołądzie w zielonych miseczkach, to kraść grona jarzębowe, to pić wielkie, złociste grusze, gnące ciężarem młode gałązki. Mam gumna pełne pszenicy i żyta, więc mogę leż na sen zimowy. Zasnąć.

Młocarnia terkocze, z pod żelaznych cepów sypie się ziarno. Rola, wypalona słońcem, a ciemna od pracy glist ziemnych i żyjatek, pachnie chlebem i tłustością. Ziemniaki tężeją na radlinach. Świnie, kłosem na ścierniu wypasione, porastają w słoninę. Ludek zapala wieczorem światła; baba tuli się do chłopca i gwarzą o bocianach.

Gatunek musi się rozmnażać. Gatunek kocha ziarno i słoninę i wezbraną mlekiem pierś matki, karmiącą niemowlę. Ptaki już nie śpiewają, zaszła cisza i drętwa powaga jesieni i zawód... i tęsknota... Po czym? <http://rcin.org.pl>

Kwiaty zwiędły!...

Cóż jemu, gatunkowi, niestrudzonemu i nieśmiertelnemu zdobywcy, po kwiatach? „Za wiele kwiatów” — mówi Kalchas, a mówi, jako rzecznik gatunku. Mrowisko rozradza się, a moralność jego zależy daleko więcej od urodzaju ziemniaków, niż od kwitnienia róż. „Na grzędzie nieśmiertelników zasadzę ogórki.” Sadź, zacny obywatelu, jeżeli masz apetyt na mizeryę.

Po co kwiaty? Aby żałować, że zwiędły? aby pamiętać, że były i umarły? Nie ma na to czasu człowiek, chodzący za pługiem. Oko ma wpatrzone w to niebo, w suszę, w grad, w huragan, w potoki deszczu, to w ziemię, gdy poczwarka podżera zieleniejące źdźbła. Myśl trapi mu widmo nienasycone: chleba, więcej chleba. Przechodzi obok bławatów i maków, podcina je kosą, jako chwasty.

Wam, wielkie cieplarnie, wielkie miasta, przystoją kwiaty. Macie z nich piękną, ludzką igraszkę, zwaną sztuką, literaturą, artyzmem. Czarne ręce dały wam chleb, i macie trochę czasu, aby sprawić dziwną przemianę materii: ziemniaka w sonet lub w posąg gladyatora. O tak! ubierajcie pokoje wasze w róże i tuberozy i w woni ich twórcie ideały, te biedne ptaszęta, uwięzione w klateczce waszych pragnień. Sądzicie, że wy myślicie... O jakież oman! Wy tylko chcecie, tak chcecie, pragniecie, pożądacie. I ta chęć jest jednocześnie błędem i prawdą waszą, grzechem i cnotą waszą, szczęściem i nieszczęściem.

Jeżeli macie kwiaty, splatajcie długie, wężowe, girlandy, niechaj wiszą na wrotach tryumfalnych przez które przeprowadzacie waszych wielkich, po-

etów, komedyantów, błaznów, hecarzów na osiołkach o pstrych czaprakach i kopicach z dzwoneczkami. O jakże słodko mieć bogów!

Tu, na wsi, róże zwiędły...

Raczej: niema ich wcale. Bo cóż znaczy, że rosną, jeżeli nikt na nie nie patrzy. Krety i nornice wyrzucają sypkie pagóreczki, niebaczne, czy uszkodzą kwiat. Żeru pragną i lepianki. Co za wspañiała pożytkiem robota! Wyrastają tęgie pary rąk, osadziste pary nóg, szerokie bary, ciała chłodem hartowane, łby nieuczesane, które łatwo ogłupić, ale zmiażdżyć trudno. Wyrastają rekruty dla was, wielkie cieplarnie, abyście parowemi mackami ścigały ich do swego gorejącego wnętrza i trawiły sokiem cywilizacyjnym.

Tu, na wsi, róż niema.

Chyba dziewczyna, zalotem nieświadomym, włos ozdobi kwiatem. Albo złoży wianuszek krzyżowi przydrożnemu. Albo osierocony—poniesie kwiat na mogiłki, tworząc nieśmiertelność. Niechaj żałuje, kto nie zna cmentarzów wiejskich, tych wydm zdrowych piaskiem i dziarnem, gdzie zwłok nie jedzą czarne, żarłoczne nekrofile. Nie chciałbym, aby mnie pochowano naprzykład na wilgotnych Powązkach, gdzie muszą być obrzydliwe gatunki robactwa. A w piasku dzieje się łagodne, czyste tlenie, ciało schnie, marszczy się, kurczy, niknie jak kryształ wietrzejący. W rozmowie z p. Kazimierzem Przerwą-Tetmajerem, który bywa poetą na seryo, usłyszałem pewnego razu: „Śmierć głupstwo, gdyby nie te robaki!” Co za hopki wyprawia ludzka wyobraźnia. Jakby to na prawdę nie było wszystko jedno! Jednakże nie wszystko/jedno.org.pl

Dzień za dniem niebo krwawi się mocniej. Słońce wieczorne tak przerażająco czerwone, że chciałoby się je odżegnać. „Skryj się pod ziemię, gwiazdo przemienna! nie bądź żałobnikiem!“ Wiatry harcują. Nokturn czy notturno, signor Polacco, bo ty lubisz to, „ty, najmłodszy z Arjów“.

Zapytanie: Skąd z narodu, naogół do głębszych i trwalszych uczuć niezdolnego, co najwyżej do mistycznego deliryum skłonnego, przynajmniej dotychczas, powstał Chopin? Tkliwy bez ekliwości, czuły bez czułości, smętny bez jadu. Prawem reakcyi? Tak, ale cóż objaśnia ten wyraz?

Ale przychodzi do mnie inny „wyrodek“, brat tamtego, inne *monstrum per excessum*, dziecię z czar-nemi oczyma, Słowacki:

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tem niebie, które żaden dym nie kazi,
W tej róży polnej, co się na świat śmieje,
Jest ziarno *nudy*, co się przeobrazi
W ziarno *tęsknoty*, gdy myśl zwiędnie młoda
Jak róża, i upłynie — jak ta woda...

Jak ta woda... Lecą zółte liście, szeleszczą. Któż mi będzie grał Chopina? Czy Zośka? Burek? Nikt. Wicher. Niech i tak będzie.

Więc wicher! Jest przysłowie mazurskie: „Jak się kto przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej“. Jakoś to będzie.

Więc owe postaci, które na skrzydłach przynosi wiatr jesienny, zwa się Nuda i Tęsknota. Czy słusznie Słowacki wynalazł pomiędzy niemi pokre-

wieństwo, ba! nawet macierzyństwo? Czy tęsknota nieokreślona, bez substratu, rozciągająca się poza świat planetarny, a może i po za samą przestrzeń, czy egzaltacya kobiet i Weltschmerz mężczyzn, nie są poprostu Nudą, stanem znużenia, osłabionego lub słabego od poczęcia umysłu? Jeżeli tak jest, co wydaje się prawdziwem, i jeżeli stan taki jest bolesny, to pocóż wybierać sobie taki stan odpoczynku?

Gdybyż to można wybierać!

Ale często staje się rzecz osobliwa. Jak kochankowi, któryby pragnął uszczęśliwić uściskiem odrazu wszystkie kobiety, domniemalnie grozi katastrofa umysłowa, nie mówiąc już o tem, że byłby nieszczególnym kochankiem, podobnież ów wybierający tęsknotą poza przestrzeń jest już na drodze do uwiadu mózgu. Wtedy instykt samoobronny, jeżeli jeszcze jest, stara się odeprzeć zarazę. Wybiera jedyny środek, jaki mu pozostaje.

Czyn. Czynem jest to uzewnętrznienie popędów, czyjegoś ja, na jakimś kawałku materyi. Tak babie lato rozpostrze się na krzaku cierniowym.

„*Am Anfang war die That*”. Na początku był czyn, akt dzielności. Oto wielki *Geheimrath* z Wejmaru nie znajduje szczęścia w genialnych dziełach swoich, lecz rozważa szkielety zwierząt i bada barwy, usiłując w tem, co uważa za swój czyn, znaleźć spokój i ukojenie. Bo dzieło (*Werk, l'oeuvre*) nigdy nie może zadowolić twórcy, chyba głupca; czyn zadawała zawsze, natychmiast i bezwzględnie. Na czynie nie masz piętna nieudolnej ręki człowieka. Jest zawsze bezwzględnie genialny. Jedyna to bezwzględność w świecie zjawisk.

„*Point de cantiques!*” — woła bliższe nam dzie-
cię wieku, autor „Statku pijanego”, Jean Rimbaud.
Pożerany tęsknotą, szydzi ze swego olbrzymiego
talentu, ze wszystkiego, co jest literaturą, sztuką,
piórem, udaje się do Abisyńczyków i Somalów, czy-
ni tam ludzkość jako urodzony przywódca, jako
„Waga sprawiedliwych”, tak go bowiem nazwali
tamtejsi (czytaj w *Chimerze*, tom II, zeszyt 4, 5).
Precz z kantyczkami!

W czasach gimnazyalnych zdarzyło mi się po-
pełnić pewien czyn rzeczywiście szlachetny. Później
różnie bywało, życie płynęło to jak wartki strumień,
to rozlewało się w mętną kałużę, w biegu obfity
osad wspomnień pozostał na dnie — zapomniany, ale
tamten czyn nigdy mnie nie opuścił. Obwinał się
około mnie bluszczem i nauczył pogardzać. O tak!
umiem gardzić i być dumnym z tego.

Poezya, nietylko pisana, ale wogóle za pomo-
cą jakiegokolwiek bądź czynu uzewnętrzniiona, to jest
zdolność tworzenia idei czyli wieczystych form rze-
czywistości, od czasów niepamiętnych przedstawia
się dwugatunkowo.

Jako liryka, jako słabość umysłu ludzkiego.
Poezja kobiet, lazarónów i chorych, którym duszno
w piersiach lub mętnie w umyśle. Rzeczywistość
przeraża ją, więc ucieka w zaświaty. Ciężka bryła
ziemi przygniata ją, a wtedy rżenie jej może być
pięknym hymnem słabości.

Jako dramat, jako siła umysłu, panująca nad
rzeczywistością. W lodowatej ekstazie bierze w uś-
cisk świat zjawisk, próbuje lepić z niej, jak z gli-
ny, swoje ebimery, a gdy się to nie udaje, gdy ten
ją dławii, nuci tryumfalny hymn śmierci.

I gdy słaby jestem głową znużoną i mętną, poddaję się tamtej poezji. Ale gdy wichur jesien-ny dokuczy mi zanadto, gdy wyjdę stawiać mu czo-ło, a on orzeźwi mię wiewem, to chcę tamtej, innej, silnej poezji.

O wichrze! roznośco siły, porwałś wiosnę i powrócisz ją. Jam z tych samych sił, co i ty, i gdy zechcę, to mi w listopadzie zakwitną gorące róże.

Zechcę. Zakwitną.

.

Dopisek.

Chodzi mi bardzo o to, aby na świecie było wielu dzielnych ludzi, to jest takich, których nie opuszcza ta druga, wielka poezya.

Trzebaby brać dzieci chłopskie corocznie na jakiś czas do miasta. Niechaj się pozbywają in-sektów i zoomorfizmu. Zapytanie: Jeżeli zamknie-my zwykłego człowieka w kurniku z gromadą gęsi, kto się komu bardziej upodobni? Gęsi człowiekowi, czy człowiek gęsiom? Ja twierdzę, że człowiek gęsiom, bo gęś jest mniejszym sofistą.

Trzebaby brać dzieci miejskie corocznie na jakiś czas na wieś.. Bez pośredniego, mocnego ujęcia sił żywiołowych niepodobna być dzielnym człowiekiem, za wiele będzie z moll.

Nie będę mówił, myślał. W ciszy niewysłownej,
W duszy miłość ogromna wzbierze mi z pogodą,
I pójdę het, daleko, jak cygan wędrowny,
W Naturę—szczęsny taki, jak z kobietą młodą.

(Z Rimbaud'a).

Psyche.

Zdaje się, że jestem zakochany, tym razem naprawdę, więc fatalnie...

Kilka lat temu cyganka, magnetyzując mnie czarnemi oczyma, wróżyła: „Paniczek może mieć długie i szczęśliwe (!) życie, ale niechaj paniczek strzeże się wody, głębokiej wody“. Może teraz właśnie stoję nad swoją głębiną, mam utonąć. Dobrze. Z każdym dniem nabieram przekonania, że skoro tak być musi, więc niechaj będzie dobrze. Proroctwo cyganki wiąże się z uczuciem, powiększając namiętność.

To ona! namiętność, ślepotą, śmierć rozumu. Czuję, jak dzień po dniu opanowywa moją wolę, kieruje ją w jedno ognisko, tracę chęć do żartu. Czort! Sprawa jak widać poważna nad miarę musi być sama w sobie dyabełnie głupia.

Nie jestem młodzieniaszkiem. Patrząc z przyjemnością na spódnice, ale dotychczas miałem władzę zapominania o nich. Przechodziłem przed żywym kinematografem. Zapłaciwszy takie lub inne *entrées*. I nie więcej. Udawałem Jowisza... byłem złotym deszczem, labędziem, Alimetaurem... Udawanie skończyło się. *Quasi*-bożek padnie ci do nóg, o Psyche, a oczyma modlić się będzie, abys mu pozwoliła okręcić szyję warkoczem. O Psyche! o jasnowłosa!

Jakaż moc sprawia, że jeszcze mogę myśleć? Tęsknię. Pali się, więc gaszę pożar, próbuję. Gaszę wrzątkiem. Czemu, jeżeli nie wrzątkiem, jest ta pieśczęta myśli, wyobrażeń, to rozpamięty-

wanie parne żądzą? Widzenie, słyszenie, dźwięk, słuch, ułuda materyi—to tępy miecz, dopiero wyobraźnia ostrzy go na siekącą stal. Widzisz, jasnowłosa, ile mam jeszcze w sobie świadomości.

Jak wielka musi być potęga twoja, jeżeli chcesz mi tę świadomość wydrzeć!

Nie jesteś przy mnie, ja tęsknię. Może kiedyś przeczytasz te słowa i odczujesz, jak mi było. Wczuj się, płoń, rumień, oburzaj! pod strzałami tego stylu.

Jest on krótki, dziki, przyspieszony, jak oddech pragnącego kochanka.

Przybywaj..

Jeżeli przyjdiesz do mnie, to zapomnę słów, bo Psyche przyszła. Wezmę cię w ramiona i będę patrzył w oczy twoje. Długo... Zajrzałaś mi niemi do serca, i już cię nie wypuszczę. Mojaś. I tak długo będziemy z sobą, aż dopóki nas co nie urzekło...

A wtedy krzykniemy za Słowackim dla rymu: „Piekło“! Nie zawsze rym płodzi nonsens.

Przyjdź do mnie!

.

A jeżeli nie przybędziesz, Psyche, nie ugasisz pożaru, to — gwałt ci zrobię. Wyślę wyobraźnię, a ta mi ciebie przyprowadzi... niewolnicę.

Widzisz, jak bezsilnaś: jam twój król i pan!

Pamiętasz ty Anielkę pana Beniowskiego?

Ona słyszała, jak on ją wywleka

Z komnat dziewiczych, jak myśli-jaszczurce

Pozwala łązić po niej, jak ją płami,

Mówiąc o wdziękach:

Ja nie będę o wdziękach twoich mówił. Będę widział, czuł, brał nozdrzami woń twoich włosów, szyi, skroni, piersi. Mam cię przy sobie, co dzień i w noc, nieodłączoną, tulę, pieszczę, poddanko! Rozwiewam twój wstyd; zawstydzenie, jakie czuję w tobie, jest mi tylko jedną żagwią więcej.

Że mnie kochasz, jest to tak pewne, jak to, że ja ciebie kocham. Trwogę czytam w twym spojrzeniu, gdy patrzysz na mnie błyszczącymi oczyma. Lękasz się, że odbiorę ci spokój. Odbiorę, nie wypieram się tego. Odbiorę... bez wyrzutu sumienia

Zrozumiej, że my wzajemnie musimy wziąć sobie spokój. Przejść przez żądzę, rozkosz, ból, uwiąd—do wiecznego letargu. Musimy zespolić się w nową istotę, aby... Aby co? Pozwól oczarować siebie pięknem zdaniem bez sensu, aby: „przedłużyć nieśmiertelność“.

Chodzi o to pragnienie moje i—nie mam względów na nikogo i na nic... Twój mąż?.. Ha! Jeżeli kłamra, którą spoił ciebie z sobą, była z tak podłego metalu, że stopiła ją błyskawica pierwszego naszego spojrzenia, to ty nie jesteś jego towarzyszką.

Gdybyś miała dzieci, wykarmione swą piersią, bezbronne dzieci, skrzydła wyobraźni mojej byłyby ołowiane. Wiedziałbym, że dzieci wyssały wdzięk cały twój, wdzięk i krasę. Pożądając ciebie, uważałbym siebie za psa wietrzącego. Gdybyś kochała dzieci bardziej, niż mnie, to nie chciałbym im robić krzywdy; gdybyś mnie pokochała więcej, niż je, to ja nie mógłbym ciebie kochać. Byłoby w tem coś piekielnie nierozwiązanego.

Aleś ty dla mnie dziewica... Jesteś więc jak Elsinoc, czysta pod pocałunkiem Heliogabala. Nie

wydałaś nic, w co byś wiała cząstkę swej Psyche. I doprawdy sama nie wiesz, co robić z nadmiarem siły. Nie chcę, abyś zwiędła. Ja ci kładę wianek mirtowy na czoło i sam go zdejmę.

Nie namawiam cię do wiarołomstwa. Idź, opowiedz mężowi, że niegdys żył kraj, zwany Grecyą. Tam Aspazyja rzekła do Peryklesa: „Kochanku mój Sokrates wpatruje się we mnie“. Perykles zaś odrzekł z wdziękiem półboga: „O Aspazyjo! Sokratesowi niczego się nie odmawia“. O Psyche! wprowadźcie ja nie jestem Sokratesem, ale i twój mąż nie jest Peryklosem. Jeżeli zaś ty nie powiesz, to ja mu powiem.

Widzisz, jasnowłosa, jakim ja wymowny, jak umiem dowodzić, rozumować, wykręcać, gdy chodzi mi o ciebie. Mówię, jak Gorgiasz, jak Antoniusz, jak Mirabeau! Język mój kradnie miody leśnym pszczołom. Ale ty mi wierzysz, nie prawdaż, jasnowłosa? Uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że dwa razy dwa jest pięć. Kochasz mnie.

I ja cię kocham, boś piękna. A czemuż piękna? Bo cię kocham.

O coś zrodzona z niczego! Prostoto
 Odpychająca! Poważna pustoto.
 Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!
 Jasna mgło! Zimny żarze! Martwy ruchu!
 Śnié bez snu!

Psyche! przybywaj.

.....

Milczenie, Psyche, czemuż milczenie? Pukam, a ty nie wychylisz jasnej głowy swojej z zapadłej

lepianki? Zamknęłaś okiennice przed światłem, nie trwoży-ż cię pleśń?

Uczciwa jesteś, nie prawdaż? chcesz być za taką uważaną, a co większa, chcesz rzeczywiście być uczciwą, bo natura twoja nie znosi fałszu, chociaż mówią, żeś kobieta. Właśnie ja za to kocham cię tak bardzo.

Bądź uczciwa, to jest nie wstydz się, że mnie kochasz. Przecież to właśnie jest uczciwością. O kochanko moja, bo już cię tak nazywam, nie zamykaj się z cnotą swoją na czterdzieści cztery spusty. Co komu po skarbach Harpagona?

Albo, do diabła, bądź szarytką, niech cię bro- ni milion wdzięcznych serc! Odstąpię od ciebie, jak od święconej wody, i potem... może sam się przeze- gnam.

Ale tak dalej być nie może. Wiem, że pamię- tasz dobrze ten kawałek ziemi, gdzie po raz pierw- szy spojrzeliśmy uważnie na siebie. Pływaliśmy czół- nem po leśnym stawie, wypoczywaliśmy w młodym borze z brzoź i sosen młodocianych. Zieloną igieł- ką kłółem cię po dłoni, niby wróżąc, a właściwie zadowolony, że miałem pretekst do zbliżenia się. Gromada głupich twarzy, masek, instyktownie śle- dziła nas.

Tam oczekiwać będę codziennie na ciebie, dopó- ki nie przyjdiesz.

Czy przyjdiesz?

.

O tak! Jak Babilonka wstąpiłaś do gaju My- litty, gdzie cudzoziemiec długo, długo, wyczekiwał. Niema oparłaś <http://rcin.org.pl> czolo o brzozę, bo zawstydzona nie-

moc twoja milczała, zanim moc jaka powróci jej życie.

Co można dalej pamiętać?

Potem osunąłem się do kolan twoich i, ściskając je mocno, szeptałem dziękczynnie i winnie: „Magdaleno“!

Magdaleno moja!

A ty szerokimi oczyma patrzyłaś w przestwór, poważna, słodka i wielka, jak władczyni świata!

Zamieniliśmy się na role.

.....

Po roku.

Piszesz mi, Magdaleno moja, że sama karmisz dziecko. To dobrze. Czy aby mu pokarm wystarcza? Czuję z listu twego, że jestem ci już osobą, miłą wprawdzie, ale taką, bez której można się ostatecznie obejść? Nie czynię ci z tego wyrzutu. *Ono* ma większe prawa do ciebie!

Piszesz do mnie, że mąż twój byłby nieszczęśliwy, gdybyś opuściła go wraz z dzieckiem! Nocami kołysze dziecko.

Wie?...

Nie mam na to odpowiedzi.

Będę więc dalej żył bez ciebie—z Zośką i z Burkiem. Dobrze! Tak być nawet powinno. Co to znaczy „być powinno“? Nie wiem.

XV.

Jasna noc.

Co za błyskawicowe przesuwanie obrazów! jakież zgiełk! jaka wrzawa! To się nazywa życiem,

objawem siły, światem zjawisk. *Panta rej*, wszystko płynie, ucieka... Gonić, dogonić, schylić się po łupinkę, z której nieuchwytny robaczek wyjadł miąższ. Znacie puste orzeszki z dziurką, skąd sypie się próchenko?

Co za wspaniałe gońby! Serce dźwięczy, jak mandolina, gitara, skrzypki, dudy, słowem jak baranie kiszki. Im delikatniejsze, cieńsze struny, tem smyk gryzie zajadlej, w końcu struny odprężą się, owisną i grają coś tak brzydkiego, że bliźni modlą się, aby taki instrument co rychlej utonął w kamiennej wodzie Lety. Bo smyk nie zna litości.

Dopiero w chwilach, gdy człowiek jest zdruzgotany niedolą istnienia, w chwilach, zwanych w mowie ludzkiej, Rozpaczą, czuje się naprawdę, że największym wynalazkiem na świecie jest „serce”. Cudze serce. Ma się poczucie otchłani, zaludnionej przez straszliwe mary, już ześlizgają się nogi, a tu staje obok ciebie smutna istota, która ci mówi: „i ja z tobą”. „I ty ze mną”, nieznana istoto, która dotychczas byłaś mi niezem. Jakiem prawem mówisz? Co nas łączy?

A co łączy gwiazdy, że nie rozbiegną się po sklepieniu, jak niesforne ognie?

Siła?...

Co to jest siła? Wymiana czucia dwu kawałków materii? Współczucie?

Hola. Stąпам po manowcach. Cóż z tego? Czy tem krzywdzę kogokolwiek?

Czy jest to jakiś akt dyplomatyczny lub społeczny, który niesie w skutku jakąś nową formę nędzy? Co może zaszkodzić komu taka zabawka moja w słowa, w puste orzeszki? Takie nie!...

Pozwólcie mi się bawić. Kot bawi się własnym ogonem, a igraszce tej przeszkodzi chyba jakie niedobre dziecko. Szanujcie prawo indywidualności, szanujcie pewniki: „ile kotów, tyle ogonów”.

Pozwólcie mi się bawić... w tę noc listopadową, gdy powietrze niesie mi jęk umierających liści. Niechaj te myśli moje płoną jak lawa ognista... zastygają w kamienne szkliwo, w kryształową posadzkę, po której ślizgać się będą młode i piękne koźleta i obrzydliwe stare kozły z rozczochranymi brodami.

Drzewo trzaska na palenisku, piec dyszy ciepłem. Zośka istnieje gdzieś... za piątą ścianą. Burek położył się przed otworem pieca. Jak sfinks. Płomień naciera nań, rozpala mu ślepie, kudły nustrzępia w grzywę, daje mu lwiość. Dostrzegłszy, że go podziwiam, powstaje i jak młody lewek przeciąga się leniwie. Podobno... pozuje...

O, głupi psie! z dobrej woli chcesz naśladować człowieka i jego małpie atrybuty. Nie... pozwólcie mi być wytwornym z polska... *ce Bourek est un vrai animal*. Jemu naprawdę sprawia przyjemność, że ja go podziwiam.

Widać przeznaczone było, że tej nocy żywiołem moim będzie ogień. Przed północą wpadły do pokoju szerokie potoki światła. Paliło się. U mnie? Wybiegłem.

Nie u mnie, u bliźniego, ale bardzo niedaleko. Wysłałem ludzi, sam popędziłem na oklep — Burek za mną.

Im bliżej podjeżdżałem do pożaru, tem mocniej zarażał mnie żywioł.

Ogień biegł stamtąd, we mnie, w szpiku moim powstawał taki sam, i szły ku sobie jak kumy. To samo działo się ze spienionym, potniejącym, rozpedzonym koniem i z psem, który wywiesił ozór i sunął z szałem wścieklizny.

Naprzód! zniszczenie jest tworzeniem, a tworzenie zniszczeniem. Jest tylko jedna jedyna siła, ta, która zmienia formę. I ta jest nieśmiertelna, ta nosi na sobie złoty kołpak Mitry.

Wicher roznosi, morze zatapia, ogień uniceswawia formę. Rozkłada ciała na elementy. Ciepłą krew zwierzęcą zamienia w puszek kamienny, w popiół. Z dymem pożarów sypie w urny popioły narodów zgasłych: Greków, Rzymian, Gotów, Hunów, Lutyków, Obotrytów, Wenedów.

I taki groźny zdaleka, jakże cichy jest zbliżka! Trawi łagodnie, z cichym szmerem, jakgdyby czynił prawo. I czemuż to dusze ludzkie nie mają takiej neodpartej siły rzutu, takiej ciągłości chłonu, jedności płomienia? Czemuż kopcą i swędzą jak nędzne lampki od wpadających wciąż do palącego się oleju much, much, much!

Spójrzcie na tłum, który także bywa żywiołem. Cichy czy wrzaskliwy, namiętny czy obojętny, szyderyczy czy wierzący, zawsze jest tylko karykaturą siły. Nie jest ani ulem pszczoł, ani tabunem dzikich koni, lecz gadziną, spędzoną do arki Noego, gdzie jastrząb siedzi obok gołębia, a wieprz przy łabędziu—na czas potopu. Jest to rozbiegłe, zbiegane, dziedziałe stado, nie posiadające ani instynktu zwierzęcia, ani rozumu człowieka jednostki.

Ale mówią, że człowiek ma wielką zdolność do bólu. Zapewne, zapewne jest to piękna zdol-

ność. Wykrzywia twarz półboga w maskarę. Pozbawia oczy, czoło, usta—klasycznego piękna, tego ideału, przekazanego nam w puściźnie przez hegemónów ateńskich. Co to jest ból?

Coś, co, znieczulając ciało, tem samem rozpędza żywioły. Wszystko znika z przed zmysłów, jako marna uluda materji. Pozostaje człowiek jako sam sobie świat. Jak król siada na tronie natury w koronie z bieluchnych kwiatów ciernia.

Gdy przybyłem na miejsce, było już prawie po wszystkim. Ogień syczał na rumowiskach. Drzewo i słoma poszły w dym, brudząc przewalające się, rdzawe obłoki.

To nie. Ziemia istnieje po to, aby rodziła długie, złociste źdźbła na poszwy do dachów i smolne ciosy na wiązadła i podpory strzech. Gorzej, że ogień dosięgnął dwu ludzi.

Pierwszym był dziedzic, szlachcic, samuraj. Kochał długie i konie: oczywiście, ratował konie: swojego Emira i swoją Kasydę. Padły na niego palące się główne, nawpół żywy wypełził na okólnik.

Drugi, stary pasterz, proletaryusz, człowiek, który wychował kilkadziesiąt pokoleń cieląt. W kojcu szopy, gdzie była jego jadalnia, salon i łóżnica, doszedł go ogień. Zwaliła się na niego powała, na której nie było polepy. Zestrachany we śnie, senny, wybiegł w koszuli, która już płonęła...

Ktoś przytomny zerwał z niego koszulę. Został nagi. W obłędzie uciekł na łąkę, gdzie pasał bydło i zapamiętałe biegał w kółko jak w karuzeli. Poszły za nim cztery baby i zaciągnęły nagusa do izby.

Zwierzęta się popaliły. Widziałem wielkie, wzdęte kupy, na których ogień już wygasł.

Samuraj leżał we dworze, na podłodze, na materacu, osypany mąką, bo to podobno dobre na oparzeliny. Jęczał, ryczał... Pochyliłem się ku niemu, ku oczom, na które zachodziły nabrzmienia, były już jak szparki.

— To pan, to pan—powtórzył kilkakrotnie.

Czułem głęboką wdzięczność w jego głosie. Oto przybywa mu nadzieja, nowy ratownik.

Nowy ból nadchodził. Całym zapalem młodzieńczym siłą, całą straszną wolą do życia chory wystąpił z nim do walki.

— Ja mam krzyczeć, ja—rzekł, ściskając zęby—a niech umrę, psia krew... dajcie papierosa!

Włożyłem mu w usta papierosa. Ciągnął go chciwie.

— Ją nie umrę, panie?—zapytał.

Ryknął:—„Nie, nie”!

Obok mnie, przy zbolałym, stał drugi człowiek. W żółtawem, zniszczonem palcie, w koszuli bez guzika u szyi, tak, że przegłądała pierś, o ciemnym włosie, łagodnym uśmiechu w czarnych oczach. Trzymał w dłoni miseczkę. Odkrył stopy leżącego czarne, zwęglone i jął smarować je oliwą.

Znałem go. Był to M. Szaraczek, schłopiały szlacheć, pan brat. Znam ich — tych panów braci: głowy zagwożdżone próżnością, kłótników, zabijaków, przecherów, pieniaczów, straszną nędzę, siedlącą się coraz czarniej w ich zapłóciach i zaściankach. M. był jak kwintesencya tego gatunku, jak idea platońska, wcielona w żywy kształt. Straszliwa, bezczelna moc inteligencji, moc poznania ujęła w kluby dzikie instynkty, nadając zjawisku nieśmiertelny wiew. Gdy sadyby braci jego zapadały się w zie-

mię, jemu, na piaskach mazowieckich, w ogródku przy chacie kwitły maki i słoneczniki, a dalej w polu, szumiał młody bór, choina, którą posiał był własną ręką. Gdy próżność spychała braci jego w ruchome trzęsawiska, w szeregi bezdomnego proletariatu, on przetopił próżność na dumę, wessał ją w krew. Zrozumiał, że dumie jest tylko jedno imię: Niezależność. Pod zrudziałą kapotą biło w nim serce przywódcy ludzkości.

Gdy ukończył smarowanie, przenieśliśmy samuraja na łóżko. Ból na chwilę złagodniał. Kobiety, matka i siostra chorego, przyniosły nam butelkę wina. Wmuszały, abyśmy pili, a odmowa sprawiła im widoczną przykrość.

O gościnności staropolska! Ty nie masz *liberum veto*.

M. kręcił papierosa z tytoniu stojącego na stole. Ni stąd ni zowąd zaczął się przedemną tłumaczyć:

— Ja palę machorkę, ale tutaj nie chciałbym psuć powietrza... nie przywykli do tego—rzekł.

Chory znieruchomiał, leżał cicho, od czasu do czasu wzdrygając się. M. i ja puszczaaliśmy dym. W drugim pokoju inni przybyli pocieszali splakane kobiety. Atmosfera była ciężka, jak dzieje się zawsze, gdy, pod naporem niezwykłego zjawiska, umysł ludzki zmuszony jest do ciężkiej czuciowej pracy.

Naraz, nie wiem jakim przypadkiem skojarzenia myśli, M. zagadnął mnie z pewną nieśmiałością:

— Podobno jest taki naród, panie... Tam, gdy ktoś kogo innego nie może przekonać, to siebie samego zabija, rozpruwa sobie brzuch.

Spojrzałem na niego.

— A i tamten drugi także się zabija, że był przyczyną śmierci.

— Jest—odrzekłem.

— Jest to wielki naród, z takim można coś zrobić. Można...—mrucał.

Po chwili rzekł, wstając:

— Pójdźmy teraz opatrzeć pasterza.

Wyszliśmy na podwórze. Dużo ludzi stało na okólniku, rozprawiając. Jedni mówili, że dziecko już umarł, inni, że jeszcze nie. Więc, żądni wiedzy, czekali pewnej nowiny.

— Czy ci ludzie zabiliby się?—rzekłem do M., wskazując na okólnik.

M. machnął ręką i przyspieszył kroku.

Pasterz leżał w łóżku pod pierzyną, twarzą do ściany zwróconą. Ciało jego było w bąblach. Okazało się, że baby oblewały oparzonego wodą, aby mu „wyprowadzić gorączkę”. Nie było ratunku.

Leżał nagi. Pilnowała go baba, której oddawał swoje zagony kartofli za opierunek.

— Czy on ma tu jakiego swojaka we wsi?—zapytałem baby.

— Nie, samusieńki!

— Włóściez mu koszulę.

— Spaliła się.

— No to...

— Skąd wziąć, kiedy drugiej niema?

— Dajcie swoją, macie tu dla niego... — rzekłem, dając babie pieniądz.

— Dostaliście pieniądze dla niego—rzekł głośno M.

Stary odwrócił się szybko:— „Dawaj!”—wrzasnął do baby, wyciągnął dłoń.

— Macie, macie — rzekła baba, oddając mu monetę:—to złe, jak chrzan.

Stary zamknął garść i legł jak poprzednio. M. smarował go oliwą i przykładał watę.

Przyszedł chłop, meldując, że przyjechały już trzy śmierci, t. j. ksiądz, lekarz i felczer.

— To nie mamy tu już nic do roboty — rzekł M.

Wyszliśmy. Za chwilę M. pożegnał się ze mną i znikł w ciemności.

Powracając, spotkałem kilka popalonych koni. Błąkały się. Jednemu wypaliło oczy; naoslep wszedł w ligustr i trzął się. Gdy gładziłem go po szyi, po nozdrzach, rżał cicho. Wziąłem go za szyję, poprowadziłem na okólnik. Szedł jak dziecko i rżał.

Po za spaloną stodołą Burek sunął ku jakimś kształtowi. Przy łunie zgliszcz dostrzegłem zielone czuby niewykopanej jeszcze marchwi, a w nich wielkie uszy i krowi ogon osła. Ten wyszedł z pożaru cało, a trafiwszy tutaj, pił słodycz korzeni. Spokojny przez cały wieczór, Burek oczekiwał go, usiłując dotrzeć mu do łędźwi. Ale z którejbydy strony pies się przysuwał, wszędzie trafiał na parę kopyt. Osioł przednimi nogami stał na jednym miejscu, tylnymi zaś kreślił krąg koła. Niepodobna go było z tej pozycyi wyprowadzić. Odwołałem Burka, nie bez trudu, osioł pasł się w dalszym ciągu.

Na drodze płonął rząd starych wierzb. Iskry dostały się im do wnętrza, do spróchniałych serc. Wiatr, który powstał po pożarze, roznosił płonące próchno na rżyska, gdzie zaraz gasło.

Odjeżdżałem powoli w ciszę i ciemność nocy. Szmary zamierały, tylko świstał wiatr. Raz tylko

jeszcze doszedł mnie silny przenikliwy głos. Był to ryk osła. Osioł, najadłszy się marchwi, wyrzucił tryumf, rozkosz życia, *evoe!*

XVI.

Gra w zielone.

Nowy rok. Tysiąc dziewięćsetny... ery chrześcijańskiej, sześćtysięczny któryś, jak liczą żydzi, znacznie starszy według rachuby Egipcyan, nieskończenie stary według mędrców hindusów.

Możnaby wyobrazić sobie ten bieg czasu, jako linię poziomą, jak nie mający krańców gościniec, na którym ręka ludzka w równych odstępach postawiła słupy. Myśl, jak wieczny Jeździec na galopującym koniu, cwałuje gościńcem, zatrzymując się przy każdym słupie dla nabrania oddechu. Między słup szarżeje, ginie we mgle. Jeździec osadza spienionego konia przy nowym.

Ten nowy słup ludzie malują na zielono, na barwę pączkującej wiosny. W języku myśli nazywa się to Nadzieja, w języku czucia — życiem, zmianą, duszą. Było, minęło—stanie się, będzie. Przy tej zamianie niema miejsca na *jest* i to — owa wielka wygrana, owa wielka racja, dla której w noc Sylwestrową pije się szampana lub gorzałkę.

Przy tej stypie grzebalnej człowiek, jak zawsze i na każdym miejscu, wierny swojej naturze, z lubością oddaje się obłudzie. Nazywa to pożegnaniem Starego Roku, a Starzec ów obchodzi go całkiem tyle, ile wczorajszy ból. Czarką trąca się

z Nowym, z białym, promiennym, nieznanym. A tamtemu staje nogą na piersiach, trupowi, i szepcze z czułą szlachetnością: „Umieraj, przebaczam ci winy, Bóg z tobą...”

O pomsto! czy długo dasz na siebie czekać? Ehe! do pierwszego upału lipcowego, do pierwszego szronu jesieni.

Tkwi w ludziach straszliwa, niepokonana, upiorkowa zdolność do złudzeń. Bezpośredniością swoją przypomina instynkt zwierzęcy, tylko instynkt wynaturzony przez wyobraźnię. Rozum puka: „Otwórz, pouczę cię, jestem mądry”. A tamten odpowiada: „Jestem życie, byłem przed tobą, bądź zdrow!” — i zamyka drzwi.

Tak, tak! Przedstawiam pewien fakt własnej świadomości. Niby wiem, że umrę, a jednakże nie jestto już takim pewnikiem, jak to, że dwa razy dwa jest cztery. Przeciwnie, czasami zdaje mi się, jako mogłyby zajść takie okoliczności, że nie umrę. Gdyby było inaczej, czyżby tylu ludzi umierało bez testamentu? Czyż ktokolwiek przepuściłby piękną i ostatnią chwilę, w której może wygadać się przed światem z własnem „ja”? Zauważyłem też, że starcy, gdy umrze ktoś z ich grona, mówią jeden do drugiego: „Teraz na nas kolej” — takim tonem, że wysoką niedelikatnością byłoby im nie zaprzeczyć. Naturalnie trudno wprost powiedzieć: „Nie umrzesz starcze” — ale trzeba uciec się do półsłówka, do dyplomacyi.

Urok złudzeń jest nadzwyczajny i niepodobna żyć bez niego, a to pod grozą obłędu, melancholii lub odczłowieczenia się; ostatni stan prześciga wszelką wyobrażalną zwierzęcość swoją obiektywną okrop-

nością. Wszyscy urodziliśmy się w Arkadyi, powiada Schiller. W Arkadyi tej władni jesteśmy: budować Partenony, Panteony, Colossea, przepyszne instalacye Olimpu, pałace chłodne białością marmuru lub gorące krwią rubinów, fontanny, tryskające wodą nieśmiertelności, wodą odmładzającą, eliksirem życia; władni jesteśmy sadzić olbrzymie drzewa wiadomości absolutnej, rozkoszować się owocami tych drzew, tonąc w rajskiej rozkoszy, jako króle, jako mocodawcy krainy Ładu i Szczęścia, które sami wytworzyliśmy.

Gdy wszakże, otwarłszy wrota tego naszego przyduszonego raju, zapagniemy gwałtem, bo suggestya myśli czy uczucia jest także gwałtem, wciągnać do naszej Arkadyi inne, cielesnie podobne nam istoty, to czynność tę należałoby uważać tylko jako zaproszenie na krótką ucztę wspólną, po której nastąpi kacenmajer. Zaproszeni goście wkrótce rozjadą się: jedni, i tym życzy się szczęśliwej podróży, powrócą do własnej Arkadyi, gdzie im najprzytulniej; inni, a dla tych życzenie drogi szczęśliwej byłoby ironią, stracą własną Arkadyę, nie pokochają nowej, bo niepodobna stać się czem innym, niż się jest, i jak istoty połowiczne, amfibiczne, będą się wałęsały po świecie, w pogoni za stopieniem ideału z rzeczywistością, tulącze, wzruszające swoją niedolą.

Ze stanowiska gromad ludzkich najszkodliwszem ze złudzeń jest to, jako ludzie porozumieć się mogą na gruncie wspólności gmachów umysłowych, maksym, zasad, idei. Złudzenie to—dlatego tak szkodliwe, że jest bardzo ponętne dla wielu odczytanych, lecz nie bystrych ludzi, którzy myśli swoich nie mogą oczyścić od elementu pragnień. Aby idea,

taka siła wtórna, pośrednia, w poczęciu swoim, taka bezkreśna w rozwoju, taka zmienna, drżąca pod żywiołowem falowaniem życia, siła rozdziela nie spajająca, aby idea mogła być kiedykolwiek cementem społecznym—tego niepodobna przyjąć. Najgłupszy Maciuś, o ileby zrozumiał, odepchnąłby to instynktem, podejrzewając sofizmat. I miałyby słuszność. Cementem społecznym nie jest urojenie, lecz uczucie, głębokie poczucie. Wszyscy wzajem poręczamy sobie możliwie wolne używanie swojego ciała ku zaspokojeniu popędów. W tym celu do pomocy przybieramy myśl, ćwiczymy ją, tresujemy i, aby niewolnik służył nam bez buntu, nazywamy go Królem Duchem i ubieramy w szaty monarsze. To przecież nie nie kosztuje.

Chodzi o to, aby nikt nie przeszkodził Hansowi uściskać Doroty; chodzi o to, aby małe Hansięta uczęszczały do szkoły, gdzie pozyskają broń do walki życiowej, aby, dorósłszy, spijały zapracowane przez się kufle piwa i w potrzebie — umiały i chciały bronić tych kuflów. Bismark tak postawił jajko Kolumba, a stało się to w ojczyźnie Schillera i Kleista.

Jakże piękna jest ta gra w zielone!

Jeżeli Tadeusz z Zosią, na ustroniu, zabawiają się w tę igraszkę, patrzą sobie wzajem w oczy, wyczytując rozkosze niezgłębione, szaty niewyczerpalne, nadzieje nieskończone, a świat dokoła pachnie im bzem i jaśminem—to zapytuję--jakiż pigmej odważyłby się rzucić im niedorzeczne słowo: „złudzenie“! Możliwość wysłać do nich samego Leopardiego, samego Schopenhauera, i misja ta nie miałaby żadnych widoków powodzenia. Zresztą i ci dwaj

myśliciele nie podjęliby się niedorzecznego zadania.

Jeżeli bujny chłopak z rozczochraną czupryną zabawia się w Prometeusza, szydzi z puciołowatego Zeusa i wyciąga ramiona do gwiazd, to próżną robotą jest przedstawianie mu brudnych aktów życia. Nie uwierzy! Jest silny, uważa siebie za milion, bo przecież wszystkie te postury, otaczające go, a obdarzone jak on: dwiema nogami, dwiema rękoma, głową i językiem, nie mogą czuć inaczej, niż on. Dopiero, gdy filistyuka ostrzyże mu włosy, a bliźni obedną go z butów, zaczyna się baczniej przypatrywać puciołowatemu Zeusowi, na którego obliczu dostrzega teraz zmarszczki mądrości. Niemniej, jako zjawisko, jako Sturm i Drang jest piękną, świetlaną fluorescencją życia.

Do tamtej, młodej pary i do tego syna słońca rozum podejść może chyba jako żebrak w łachmanach—po jałmużnę.

Jeżeli wszakże od zjawisk elementarnych, jak miłość, porywy młodzieńcze i t. d., przechodzimy do zjawisk pośrednich, do stosunków społecznych, do układu kompromisowego, to punkt oparcia znajdzie się akurat na przeciwnym biegunie. Tutaj gospodarzem jest rozum. Obowiązany jest ważyć, mierzyć, łączyć, rozdzielać materię. Cisnących się zewsząd syrenich głosów, pragnień i złudzeń, dla dobra gromady, obowiązany jest niesłyszeć, albowiem niema złudzeń zbiorowych, są tylko złudzenia jednostek i ich skutki suggestyjne, tak trwałe, jak siła magnetyczna sztaby żelaznej w cewce Rhumkorffa. Gdy prądu niema, żelazo jest bezwładne. Do Solona przychodzi orkiestra ze złotych harf, płaczliwych skrzypiec, głuchych fletów, trelów te-

norowych, a Solon odpowiada jej: „Dobrzy ludzie, grajcie ludziom w teatrach, na odpocznienie; w pracy zaś im nie przeszkadzajcie“.

Sens życia jednostki jest tylko i tylko moralny. Sens życia społeczeństw jest tylko materyalny. Na tem polega tragizm życia. Jeżeli to nieprawda, to Szekspir, Balzac, Ibsen są tylko zapłaconymi kolporterami perkalików.

Własnością niezaprzeczoną jednostki jest jej aparat czuciowo-umysłowy, jej świadomość, słowem: nieco rozkoszy, wiele bólu. Własnością społeczeństwa są: ziemia, domy, ogrody, powietrze, natura. Społeczeństwo toleruje własność prywatną tych przedmiotów w domniemaniu, że rządcowie mają chęci i umiejętność wyciągnięcia z nich możliwie wielkiej ilości dóbr. Gwarancją chęci i umiejętności, w braku innych zapewnień, jest interes osobisty. Jeżeli wszakże przed społeczeństwem stanie „wcielenie idei“, człowiek o ogromnym apetycie i żąda: „Dajcie mi cząstkę dóbr, należną mi w imię praw człowieka“—cóż odpowie mu społeczeństwo?

Społeczeństwo dzisiejsze, europejskie, będzie zaambarasowane, odpowie cicho: „Wiem, bracie, że ci się należy, ale widzisz trudno komuś brać“...

Uderza mnie tu bardziej bezwład odpowiedzi, niż bezczelność żądania.

To „prawo człowieka“, rozebrane do naga, nie znaczy nic więcej, tylko „prawo apetytu“. Pragnę, więc jestem; o ile mogę nasycić pragnienia, o tyle żyję. Ani słowa, jest to potężne prawo zwierzęcia.
Bestia triumphans.

Najzabawniejszem jest, że tego nowego Kalibana ubrano w światły płaszcz humanizmu. Tryum-

talnie włóczą go po socyologjach, po aktach pisemnych, ustnych, salonowych, parlamentarnych, po całej prasie, wyprasowanej ze zdrowego rozsądku. Głównym argumentem, jakim humanizm broni swojego wychowawca, jest ten, że istnieje sporo ludzi, którzy nudzą się w salonach, dostają kataru żołądka od pasztetów, a podagry od win, sporo ludzi, którzy nie nie robią, próżnują. Powinni tak robić wszyscy, to byłoby dopiero prawdziwie humanitarne!

Cóż jest *primum mobile* humanizmu? Współczucie? No tak, współczucie. Niedawno rozmawiałem z pewnym złodziejem, który martwił się bardzo, że koledze jego udała się świetnie jakaś wyprawa, a on chybił. Bolesć tego człowieka wzruszyła mnie do łez.

Bo myśmy bardzo czuli, my w XX wieku.

Tak czuli, że ronimy łyżę na prawo i lewo. Bez poczucia kierunku. Zupełnie tak, jak gdyby nam groził paraliż postępowy.

Paraliżem moralnym jest ów optymizm, te złudzenia, usiłujące sprządz z sobą rzeczywistość, to ściganie horyzontu, słowem: to wyjście z samego siebie, z własnego duchowego ogniska i oddanie się na łup światu. Skutkiem tego jest słabość duszy, niemoc czynu.

Gdy mi jakiś zacny człowiek, człowiek czynu, który wszakże, życiem praktycznym pochłonięty, nie ma czasu na myślenie, zarzucił, że, pozbawiając ludzi złudzeń, rabuję im nadzieję, tobym musiał odrzec:

— Nadzieja—to technienie, siła życiowa, dusza człowieka—odnawia się w mgnieniu, w każdej kropki krwi. Choćbym chciał, nie mogę jej odebrać. Natomiast tę nadzieję, która jak polip wysyła setne

macki po swoje ofiary, której na imię „Zwodnica“, zmiążdżyłbym z rozkoszą. I uważałbym to za taki dobry uczynek, jak wyrwanie zębów jadowitych grzechotnikowi.

XVII.

Lacrima.

Mam starą szablę, wisi na ścianie i mniej więcej raz na miesiąc przypominam Zośce, aby starła z niej kurz. Zośka, ocierając, czyni to niedbale, ciężko, bez poczucia potrzeby. Swym kobiecym, praktycznym rozumem sądzi, że na czyszczenie sprzętów nieużytecznych szkoda czasu. Raz dała mi nawet do zrozumienia, że można szablę przerobić na skuteczny nóż kuchenny do krajania pieczeni.

W istocie jest to sprzęt całkiem nieużyteczny. Użyłem szabli tylko raz jeden w życiu. Przed oknami kwitło mi kilka róż „la France“. Pewnego dnia, wyglądając oknem, dostrzegłem młodego, rzeźwego wieprzka, który z wesołością słoneczną dnia letniego podrył korzenie róż. Wypadłem z domu z szablą w dłoni i spławiłem ją we krwi zwierzęcia. Wieprzak padł trupem.

Nie powiem, aby ten fakt wpłynął dodatnio na powagę moją wobec otoczenia. W oczach służby widziałem tolerancję wprawdzie, ale i pewien odcień pogardy. Zośka, przynosząc mi wieczorem herbatę, bardzo szybko wycofała się z pokoju. Włodarz Pokrzywa mówił w kuchni do zebranego grona—usłyszałem mimowoli—że „dziedzie ma we łbie fiołka”.

Oczywiście, nie zwaryowałem, ale w nocy spać nie mogłem. Wyobraźnia uparcie, natrętnie, skierowała oczy swoje na jakąś równinę, którą dzieliła na dwie części szeroka rozpadlina z ciemnością nieprzeniknioną w głębi. Szeregi jeźdźców na rozpędzonych koniach, to złamane w zygzaki, to wyprężone jak bezkreśna linia prosta, zbliżały się ku owej rozpadlinie. Każdy z jeźdźców odsadził się o krawędź rozpadliny, cuglami wniósł konia ku obłokom i spadł w przepaść! Jedni za drugimi, jedni obok drugich.

W oddali, na pagórku czy usypisku—mogile stał człowiek w szarym surducie i białych spodniach. Uchylając trójgraniastego kapelusza wołał:

— *Braves des braves!*

Krzyknąłem to tak głośno, że Burek obudził się i przeszedł po sypialni zaniepokojony.

W pieczarach, rozpadlinach, rysach skał spękanych, w mrokach, piwnicach ziemi, w bezdniach, dokąd nawet myśl trwoźnie się spuszcza i drży z przestachu — i tam jest życie. Przez bezładne, ogromne cielska kamieni, zwały granitów, przez drobiny materii martwej, odpornej, prze się niezwykła siła życia; przenika, zapładnia, tworzy, rozwija. Na strawie kamiennej, na soku z piaskowców, wapniaków, granitów, zielenieje porost. Życie wchodzi się w kamień prawem... prawem... życia.

We wnętrzach dębów wielowiecznych, wierzb zmurszałych, w pałacach z pyłu i próchna — i tam jest życie. Pajęczyna, pleśń, narośle, gruczoły, grzyby potworne, ustroje padlinowe, królestwo ciemności i nędzy. Rzecz/szczegółna, to próchno niesie

częstokroć woń fiołka, prawie woń fiołka. Prawie—
à peu près. Czemu w tej chwili przychodzi mi na
myśl współczesna poezya europejska?

Na trzęsawicach, oparzeliskach, w bagnach,
w cuchnącej, lepkiej grzęzli, i tam jest życie. Od
dna podnosi się złe powietrze, bulgocze, pęka w
bąblach na powierzchni. Truje. W tem powietrzu
wzrastają wszelkie siły, wzrasta babka o wielkich
liściach i mlecz o gorzkim soku. Często dojrzysz
nawet i gniazdo bledziuchnych niezapominajek.

I ten dziki winograd, na północnym szczycie
domu, pnący się wysoko w górę bez promienistego
ciepła. Idzie po ścianie niepowstrzymany, wpęła
pod czerwoną łuskę dachówki. Ale grona osadza
tak kwaśne, że ani wróbel na nie siądzie, ani ga-
wron nie dziobnie.

Oskarże Alving! nędzo ludzka, upiorze! wołaj:
„słońca!”

.....

Ze stali wyrabia się szable, ze stali wyrabia
się pióra, no, więc obadwa przedmioty są w pewnem
z sobą pokrewieństwie. Z piórem staje się rów-
nież do rozprawy. Prima, secunda, tercja. Dalej—
cięcie referendarskie, cięcie senatorskie, na krzyż—
przez pierś. I sztych w brzuch ostrzem — do jelit,
„trzewa zatargać”. Wszystkie te cięcia piórem ma-
ją z sobą to wspólne, że zazwyczaj nie odpowie
im nawet... świst powietrza.

A jeśli nawet jęknie powietrze, to zaraz zer-
wie się wichur, topiąc dźwięk w bezmiarze czegoś,
na co niemasz wyrazu.

.....

Powiedz mi, Burku, jaki według twego psie-

go, niezależnego zdania, jest cel istnienia takiego szlachcica, takiego Rupiecia, jak ja? Przytocz mi teleologię tego faktu. Oto wypadł mi but ze strzemiesienia i trzęsę się, jak żyd na szkapie. Jest to humorystyka. A przecież przyroda nie jest humorystyczna, przyroda, coś, co wiecznie zapłodnione i wiecznie rodzące. Przyroda jest poważna, jak dzika bawolica, a jam zabawny jak tresowany orangutang.

Czyż cywilizacya nieuchronnie prowadzi do operetki? Czyż skutkiem jej są chude łydki piszczele Don-Kiszota, siekącego szablą podwoje do szaletu?

Noga moja usilnie szuka strzemiesienia. Straciłem je, oglądając się na boki, na stada stłoczonych, wyjących, źle oswojonych zwierząt. Od wrzasków straciłem równowagę, strzemię wysunęło się. Jak powiedziałem, trzęsę się, jadę poczwarnie.

Pójdziemy, Burku, na cmentarze polne, do mogił wiecznego wesela, gdzie, w dziarnie wybielone, leżą pokolenia szlachciców i chłopów. Usiądziesz po psiemu u wrotek i pilnować będziesz, aby mi nie wtargnęły Wielkie Ryje.

Ja zaś pójdę pomiędzy wyrosłe na kościach brzozy, świerki. I zmuszę te niemowy do wyznania, zmuszę krzykiem serdecznym.

Pójdziemy, Burku, na ugory polne, tłuste mazią, miliardy istot żywiące. Brzuchem podpełnę roli, zmysły puszcę na czaty. Wchłonę zapach potu i krwi stuleci. Ucho przyłożę do ziemi. Dosłyszę rozgromy burz, tętent galopujących koni, pochód czasu szumny i łoskotny. Wszakże tutaj, w ziemię, spływają prądy piorunowe, a ziemia tuli je i chowa. Oddaje tętentem <http://goin.org.pl>

O rozkoszna, orzeźwiająca pieśni!

Tak wicher wiosenny marszczy potoki, goniąc ku rzekom, morzu, oceanom.

Gorące pragnienie mam. Na łysinach piachów, na wyrębach nagich, na ponurych uroczyskach, na pustkach, nawiedzonych przez czartów, pragnę sadyć gęste, modrzewiowe gaje. Niechaj każda krzewina ma inne bukiety z igiełek, niechaj każda gałązka innym wachlarzem puszcza, a wszystkie razem będą borem, którego odpór złamie pędy wichru, a szum zagłuszy świsty i lament.

O rośnij, cudna, zielona choino! Na belkownikę do świątyni. Wiązać dzisiejszem próchnem? Co za robota! Grzyb żre! Zapada się...

A jeżeli gaj młodociany kłem pełną dziki, objeżdżą zające, pođryją krety, krety... Jeżeli pod dach balsamiczny sprowadza się czereda huronów, którzy rozpoczną dziki taniec życia przy płomienisku z pędów modrzewiowych. Jeżeli w dymie z zielonych igiełek poczną wędzić połcie wieprzowiny?

O, godne widowisko!

Cóż robić? Mam szablę stępioną, bicepsy miękkie, Burek wprawdzie umie warczeć i posiada zęby nie plombowane, ale za legjon nie poradzi. Pozostaje pióro, atrament, cięcia na papierze.

Jest to całkiem nędzne zajęcie. Bodaj że pozazdrościłbym jakiemuś Kusemu Wilkowi z plemienia huronów, który, skalpując, dozłaje dreszczu rozkoszy.

Ten przynajmniej wie, co to jest *Ding an sich*, rzecz sama w sobie.

XVIII.

D e p e s z e.

10 luty 1904 r.

Będąc w miasteczku, gdzie odbieram pocztę, dostałem nadzwyczajny dodatek gazety z następującą depeszą:

Petersburg. Poseł japoński przy dworze rosyjskim Kurino wyjechał z Petersburga.

Następnego dnia gazety doniosły:

Port Artura. Pancerniki (nazwy wymienione, lecz nie pamiętam) rosyjskie torpedami przedziurawione.

Następnego dnia i tak dalej...

Bitwa pod Tiurenczenem. Kuroki przechodzi graniczną rzekę Jalu.

Bitwa pod Kin-Czau. General japoński Oku dobywa szturmem wzgórz, zagradzających mu drogę do Portu-Artura.

Bitwa... General Oku odrzuca śpieszącą na odsiecz armię rosyjską pod wodzą generała Stackelberga.

Na oceanie Spokojnym. Admirał Togo rozprasa flotę rosyjską.

Marszałek Ojama zdobywa Lao-Jan, wyrzucając generała Kuropatkina.

General Kuropatkin rusza całą potęgą na armję japońską, która wszakże nie chce się ruszyć z miejsca.

Nowy Rok 1905. General Nogi, straciwszy obu synów, bierze Port-Artura.

Armia japońska opasuje Mukden i po dziesięć-

ciodniowej walce odpiera Rosyan pod Charbin. Na lądzie zapasy skończone.

Admirał Kamimura zatapia eskadrę Władystocką.

Flota Admirała Rożestwieńskiego ginie i podaje się pod Cuszimą.

Pokój zawarty. Akt konstytucyjny.

Żarty?..

XIX.

W malignie.

Nie pisałem trzy lata...

Nadszedł na mnie długi, ciężki, okropny tyfus. Miesiące leżałem w gorączce, w majaczeniu. Dziś, gdy jużem uzdrowieniec, chociaż żółtą cerę mam, jak Piotrowin, a słabym, jak zraniona gałąź, ludzie opowiadają mi o mnie różne rzeczy. Dziwaczne rzeczy.

Otom krzyczał, podobno, opętańczo. Krzyczałem:

— Husaryja wali!

I rękoma machałem, jak ptak skrzydłem. Nogami biłem w police łóżka. Chciałem się zrywać i lecieć... Czterech chłopów u wezglowia czujnych zaledwie mieli by moc mi poradzić. Przywiązywano mnie powróslami z prześcieradeł do desek łóżniczych. Prężyłem się w tym popręgu i krzyczałem, krzyczałem strasznie.

Burek wył przy mnie, przy łóżku.

— Husarya wali!—Przypominam sobie trochę—
we mgle. Ci czterej chłopci siedzieli na krawędzi
łóżka, ciągle żuli szczękami — coś żarli i kopcili
śmierdzący *dreikönig*. Trzymali mnie mocno, jak
mocno! A przecież byłem krzepki, jak człowiek,
któremu w gorączce wszystko zamienia się w jedną
siłę, w jedno pragnienie wysilenia.

Gdy mnie więc gwałtem trzymano na łóżku,
gdzie kurczyłem się od bólów, wszystka siła szła
do głowy—w lot, do wyobraźni.

Obrazy przewalały mi się w mózgu, jak chmu-
ry... Jedne za drugimi, jedne za drugimi, jak ży-
we klepsydry tysiącleci...

Szedłem w orszaku wajdelotów, starców-biało-
brodych do chramu boga widnego Światowida.

Słońce morza rugijskiego krwawiło się na nie-
bie. Przekraczałem wrota bursztynowe, i grotę
z muszli różnobarwionych, i wielkie dęby wydrązo-
ne, którym wyjęto serca. Chodem ważnym a cichym,
jak plusk fał zamyślonych, przyszedliśmy do stosu
oślepiającego boga i stanęliśmy wieńcem. Zmruży-
liśmy oczy, zamknęliśmy pod razami blasku. Ale
usta otwarły się nam śpiewem i pieliśmy nieśmier-
telność. Pierwszą barwę w tem graniu trzymało mo-
rze; było grajkciem—kralem.

Znikło...

Wrony koń o srebrnych podkowach przyniósł
mnie nocą na równinę leśną, gdzieś między Łabą
a Niemnem. Gdym przybieżał i koń mój, Czarny
Boh krył się już za lasy, a ranek płynął jarzący.
Zastałem tam ludy ludów, kroć mrowia wiecowne-
go, kralów i knieziów stu plemion, wojów, opolan,
niewiasty i dziewczki. Brzęczeli, jak pszczoły w dzień

miodny. Zamari wielki król Chrobry Bolko, zdrętwiała ręka mocarna, i miecz nieprzełamany, i chęć niestruchliwa. Szeząc jego i ludzka zwłoka ma powrócić tam, skąd wyszła—w ogień Światowida.

Przyczyniony już ogromny stos ze szczap choiny, żywicę odkapujących. Leży tam Bolczyzna zwłoka, a miecz położono mu napierśnie. Do boku przystały mu cztery piękne niewiasty—Bolczyne przydusznice—nałożnice, w wieńcach z liści dębowych, z rozpuszczonemi kosami. A każda kosę ma innej maści: jedna bursztynową, inna lnianą, inna kruczą, jeszcze inna rusą. A oczy każdej inaczej się mieni: modrakiem, złotem, czarnym djamentem i zielencem.

I siwy koń Bolczyn, w czerwonej terlicy, z grzywą i chwostem uplecionym—złocieniem, dzwonkiem kraśnym, chabrem, koń, który mnogie rzeki przepłynął, wstąpił na stos.

Drwa płoną. Dym objął Bolka i dziewczki jego i konia. Tysiąc-tysięczny lud śpiewa hymn nieśmiertelny—Słońcu. Dym płynie ku chmurom, roztapia się na niebie, wsiąka w przestworze.

Lud składa popioły do urny. Niosą łzawnicę z prochem Bolka, i dziewczek jego, i konia jego—na uroczysko leśne, gdzie w pachnących wrzosach żyje słodki Żal. Zakopać mają łzawnicę po same usta, które co ranek płakać będą świeżą rosą.

Margraf Gero! Niemcy!

Dziki krzyk! Na tłum niezmierny, gdy niesie łzawnicę, wypada szyk zwartych hercerzów w białych płaszczach z czarnymi krzyżami, z żelaznymi mieczami. Depczą, tratują, łamią. Łzawnica pada na ziemię, na kamienie i w drobiny skruszona.

Rozsypane prochy porywa Poświst-Pogwizd. Unosi, miesza z pyłem świata, do gwiazd.

Na tumany krwawego pola splywa Lelum-Polelum. Deszcz chłoszcze, gasi płonące strugi krwi i głuszy pisk konających i wycie żywych.

Na uroczysku leśnem pozostaje krzyż i modlące się do niego trupy — przytulone na wieczność, nieprzebudne.

Znikło...

Kneź Popiół biesiaduje z wojewodami. Podda im srebrne roztruchany, słodki sok winny, wroniem okiem zaprawiony. Drżącą ręką podaje im—drżące o władzę zajęcze serce. Mord szlachetnych i mądrych i dzielnych—dokonywa się.

Wody Gopła niezwykle biją o mury kruszowicowego grodu. Wezbrały myszami; mysie fale leją się do komnat. Myszy łaskoczą, pokrywają, duszą Popiołka.

Znikło.

Trup Masłowa wiatrem rozbujały na żerdzi pomorskiej. „Haj, Masz-że górę!“ Okropny, proroczy trup.

I wraz ze straszliwym obrazem mazowieckiego poganina-buntownika, bohatera i ludobrońcy, przychodzi bór Kupalny, przez jasne robaczki rozświetlony. Idzie ku niemu po kwiat paproci dwoje pacholąt, dwaj bracia, jeden w kontusiku, drugi w świtce. A gdy już byli przyszli do skraju lasu, pacholę w kontusiku, zazdroszcząc, aby družek jego nie zabrał mu czarodziejskiego ziela, rzekło:

„Wróć do domu, świń najrzec, bo tu w borze ciemnym możesz się zbłąkać“.

A gdy chłopię w świtce zaczęło płakać i odejść nie chciało chłopię w kontusiku odepchnęło je gwałtem, iż było śmielsze.

I wszedłszy sam, począł szukać po lesie czarodziejskiego ziela. Tam spotkał dwie boginki, dwie dziewy, które szły obok siebie, jednakowe i prześliczne w księżycowym blasku. Jedna była Żywa, boginka życia; druga jej siostra, Marzanna, boginka śmierci. Prowadziły się za ręce i obie uśmiechnięte były i smutne.

— Dlaczego przychodzisz sam? Gdzie zostawiłeś tamtego żywego robaczka, z którym szedłeś był do boru? — zapytała pacholęcia w kontusiku Żywa.

Pacholę odpowiedziało, kłamiąc:

— Został się, bo sam nie chciałem wniknąć do boru, jako przekłada najrzewać świnie.

Żywa zniknęła jak dziewa Wiaterna, a przy pacholęciu pozostała Marzanna. Wzięła je za ręce i prowadziła przez bór. Że położyła mu dłoń na czole, więc nie wiedział, jeno szedł ślepo; że dotknęła ręką jego uszu, przestał rozumieć głosy; że ścisnęła mu głowę, przestał myśleć. I szedł z Marzanną, boginką śmierci, jak zwierz, widzący li to, na co patrzy.

Naszła na las burza, łamiąca drzewa wieloletnie i łomocząca gromem, a owo pacholę w kontusiku zapytywało Marzanny:

— Aż to trzaska z bieza Wojtuś, woźnica mojego rodzica, nad czwórką koni?...

Gdy zaś las się skończył i pacholę z Marzanną stanęło nad brzegiem niezmiernego morza, huczą-

cej głębin, pacholę wzięło szum fal za muzykę, przygrywającą do oberka.

Rzuciło się naprzód w płas i utonęło.

Znikło...

Znowu słychać szczęk pałaszów i huk armat. Pałasze trącają o misy z cielęcina, a strzelają butle. Weseli się uczta od morze do morza, od Czertome-lika do Stołpi. Wąsy gwizdzą, brzuchy grają. Bie-siadzie zaś stołów przywodzą różowe mnichy z ró-zańcami! Wnoszą puchary z węgrzynem, czystym jak Lacrima Christa. *Pax!*—wrzeszcza—*pax!*

Milknie zgiełk, gdy wśród stołów biesiadnych ukazują się dwa szkielety: Łyszczyńskiego i burmi-strza z Torunia, Roesnera, a za nimi martwe spo-kojem duchy Pomsty. Na chwilę wszakże, bo ogro-mny szlachcic, człowiek-brzuch, człowiek-gęba, ci-ska w kościotrupy udziec dzika. Światła gasną. W ciemności wrzawa pijacka wzbiera.

Znikło.

I w katakumbach byłem. W podziemiach i lo-chach, gdzie coraz ciemniej i coraz zieleniej od pleśni, przerastających olbrzymiami grzybami. Stosy kości, ogromne stosy widziałem tysięcy dzieci słoń-ca, co zczezli w nieutulonej tęsknicy, nie doczeka-wszy się Światowida. Stosy kajdan widziałem, leżą-cych na kościach i rdzę czerwona, nieśmiertelnie gryząca, i ropuchy, żywe ruchadła tych kości i tego żelaza. A ściany piwnic kapały łzami [nieszczęśli-wych, i pływały wilgocia, która w rzekach tej cie-mności stawała się parą śmiertelną i zaduchem.

Znikło...

I jeszcze ujrzałem cmentarz. Na mogiłach, po-śród krzyżów, kwiatów i kamiennych grobowców,

postawiono wielki bazar z dranic, w którym odbywała się sprzedaż publiczna starych kości i drzewa trumiennego. Grabarze z zakasanymi po łokcie rękami zwijali się po cmentarzu, ryjąc go rydel przy rydlu i wybierając szczątki, przynosili do bazaru. W bazarze rolnicy zakupowali kości na nawóz, a fabrykanci — drzewo z trumien na opał, przyczem wrzeszczano, albowiem ceny wskutek spóźzawodnictwa rosły niepomierne.

Naokół cmentarza wachały i wyły psy...

Znikło...

.....

Wyrwałem się wreszcie pewnego razu rękoma czatowników i przez okno uciekłem, zraniony i skrajany szkłem. Biegłem w pole, naprzód, szalenie, tak chyżo, że niezdarne, ciężkie buty chłopów nie mogły być mi nadążać. Burek biegł przy mnie: czułem, jak mi gorącym jęzorem lizał nagie kolana.

Niełatwo było mnie dognać! Sadziłem przez rowy, bagna, stawy, sitowia... Padałem, wstawałem, biegłem znowu. Burek przy mnie, ziajał i lizał.

Aż nareszcie konni dopędzili nas. Związali, przywiedli do łóżka. Uderzyły na mnie poty, omdlenie rozkoszne, sen. Byłem uratowany.

.....

Tyfus jest chorobą, w której się rośnie. I ja urosłem. Czuję się innym, niż przedtem. Odnowiłem się. Ponieważ mam świadomość wzmożonej prężności życia, twierdzę, że urosłem.

Podczas mojej choroby zaszły pewne zmiany na świecie—w drobiazgach. I w moim własnym domu, w Gratach. Zośki już niema. Korzystając z bez-

królewia, w swej skłonności ku pisarzowi Kozikowi posunęła się za daleko. Okradli mnie z bielizny i z garderoby, śpichrz ze zboża; ktoś, niewiadomo w jakim celu, pokrajał mi nożem obrazy na ścianie. Ktoś jeszcze skradł drogie mi srebrne świeczniki, z których jeden wyobrażał wspinającego się Bucefała, drugi ryczącego Minotaura. Wyłamano mi wszystkie młode drzewka w sadzie, porozbierano płoty, zabagniono studnię.

Istotą niezłomną pozostał mi Burek. On, pies, mój przyjaciel.

I on wszakże się zmienił na zdrowiu. Inne psy zaczynają go już zмагаć. Zesłabł. Potrzeba mu kilka miesięcy lepszego otoczenia.

Wkrótce będę się radził lekarza co do swego okresu ozdrowieńczego; zaprowadzę i Burka. Oczywiście pójdę z nim do weterynarza, gdyż wątpię, aby już istniał na świecie lekarz, któryby się nie obraził, gdyby do niego przyprowadzono na poradę—psa.

Tymczasem zaś wysiaduję godzinami na słońcu czerwcowym, piekę się w promieniach i czytuję psalmy Kochanowskiego. Psalm 72: „Deus iudicium i t. d.“:

Z garści ziarn taki urodzaj wstanie,
 Że jako z cedrów na Libanie,
 Taki chrząst kłosów po górach wszędzie
 I po nizinach obfitych będzie...

O mowo cudna, uzdrawiasz mnie.

Do morza.

Wyrwać się z chaosu piekielnego, który niemożliwą do opisania rzeczywistością drwi z najczarniejszych, najczernerwieńszych, najokrutniejszych wizyi Dantego, znaleźć się nad morzem—u morza—w kołysce dziejowej wód, fal bezmiaru, ciszy, zapomnieć, szaleć z zapomnienia... Co za krzyk szczęścia nieoczekiwanego, straszliwego szczęścia, niezasłużonego! Płyn, łodzi!..

Więzienie, brud, opary ze krwi i mięsa ludzkiego, legjony duchów, walczące stada zmor w kręgach powietrznych, pisk cyrku rozjuszonego, zhukanego, pożoga Gomory z krakiem płonących wron, nieme słupy Lota, nędza życia — ta stokroć gorsza od nędzy śmierci, i wraz z tem wszystkim, jak godzina przy godzinie, jak obraz przy obrazie—*morze*, żywioł nie do zgłuszenia, nie do zbrudzenia, nie do skajdania, nie do sfalszowania. Jest szaleństwo w tem zestawieniu, szaleństwo rozpaczy, która wszakże uzdrawia, gdy się sprzymierzy z elementem. Jakże mi potrzeba ozdrowieństwa!

Kocham cię, o morze! Kocham duszą zatraconego wikinga, który ma w czuciu żywą historję świata, historję, nieosłoniętą książkowemi larwy. Z twojej głębi podniosła się myśl, biła o brzegi, rozlewała się na pomorzach i tworzyła Ateny, Romy, Grenadę, Anglię, Hanzę, Skandynawię i Japonię Ty, morze, towarzysz ludzi wolnych... Twój bezkres daje myśli ogrom, twoja głębina niewidna — potęgę.

Myśl ludzka leci nad tobą, jak niezmeńczona ostroskrzydła mewa. <http://rcin.org.pl> A chociaż upadnie, to nigdy

nie gnije, lecz tonie w falach bez śladu, jak zagubiona w przestworzu gwiazda.

Jedzone nudą, niedokrewnością, malarycznym upławem zjawiają się u nóg twoich kołtunięta z równinnych bagien, zatrute oddechem oparów, krowoludy, zwierzokrzewy, mysiekróle, aby patrzeć na cię, jak grecki Boos (po polsku wolec) na posąg Pallas-Ateny. Swędziły go rogi, więc z dziwnym uporem wybrał sobie pentelikoński posąg Pallady i właśnie tam przychodził się ocierać. Zgorszona bogini poskarżyła się Zeusowi, a papa polecił Fulminosowi spiorunować wolca na pieczeń. *Quod est peractum.* Co za temat dla malarza!

Widziałem więc ów kołtuński cake-walk, tańczony na piasku morskim z okropnem wyprężaniem brzuchów i nabrzmiewaniem policzków. Pewna sentymentalna morska świnka w tonie *lacrimando* szepiała: Profanacya, profanacya...

Czem jest dzisiaj to, co powszechnie nazywają profanacyą? To poprostu *czystość moralna*, umyć się szarem mydłem od obowiązującego brudu. Staralem się przeto przełożyć morskiej śwince, że tak samo jak na miejscu Sodomy i Gomory trzeba było postawić nowość... Babilon, tak samo zamiast sprofanowanej profanacyi mówić należy: deprofanacja, odświęcenie, odpodlenie...

Ci, którzy tego nie rozumieją, pozostaną niewolnikami *ad saecula saeculorum* — beznadziejnie, t. j. do zgnicia.

Lekarz, czyli, nieuchybiając godności ludzkiej, doktor medycyny, uczony medyk, pulsometra, opukawszy mnie drewnianym młotem po ciele, powiedział:
— Właściwie niczego nie brakuje.

— Wszystkiego mi brak—odrzekłem.

— Co pan przez to rozumie?

— Oto zdaje mi się, że całe moje jestestwo czyli jaźń odwróciła się do góry nogami. Od pewnego czasu świat przedstawia mi się jak przedsiębiorstwo operetkowe, a wielkim mechanikiem, najpotężniejszym demiurgiem Polski, widzę dyrektora Ludwika Śliwińskiego, który od lat wszystkie możliwe bogi eksportuje na Powązki. Taki sposób patrzenia, pozornie wesóły, wywiera wpływ fatalny na cały mój organizm, i chociażby młot twój, szanowny doktorze, niczego się na ciele moim nie dopukał, twierdząc stanowczo, że jestem chory.

Pan doktor głęboko i badawczo spojrział na mnie. Potem kazał mi wyprostować nogę i uderzył ostrą dłońią poniżej kolana. Jak wiadomo, jest to próba sprawności mlecza pacierzowego, która to sprawność jest warunkiem wszelkiej twórczości bądź fizycznej bądź umysłowej. Kolano drgało jak należy.

— Pomimo mej najszczerzej chęci, jesteś pan zdrow—rzekł doktor.

— Pomimo mego absolutnego zdrowia, proszę o receptę—odpowiedziałem.

— Dobrze. Co pan lubi? co pan kocha?

— Kocham siebie, wolną ojczyznę, kobiety, morze i zupę pomidorową.

— Dobrze. Pojedzie pan dokądkolwiek nad morze ojczyste, tam zaś na miejscu postara się pan o kobiety i o zupę pomidorową.

Uścisnąłem doktorowi rękę. Ten człowiek o niczem nie zapomniał. Nie lubię tych konsyljarzów zdrowia, tych Napoleonów ciała, ale tego lubię. Oczy jego mówią: Nie myśl, żebym się faty-

gował obelgać cię“. Receptę wykonam z punktualnością.

Pokazałem mu i Burka, który był ze mną. Burek podał doktorowi łapę i potrząśli się wzajem, poczem doktor obejrzał mu jęzor, ślepie i ogon. Stwierdził psią neurastenię na tle umartwień życiowych i zalecił kąpiele morskie. Mamy więc, o Burku, kurację jednaką, z czego się cieszę.

Tym sposobem, za sprawą lekarza, znalazłem się wraz z Burkiem na brzegu morskim, nad wielkiem morzem, którego ostry cichy wiatr chwycił płuca nasze, i głowy nasze, i serca technienie, myśli i tęsknotę naszą, roztopiając to wszystko w melodyi fal, zawsze zmiennych i zawsze tych samych. Rytmiczna siła uderzeń morza, wysoce estetyczna w swym ładzie i mierze, działa na mnie zawsze z nieopisanym skutkiem. Czuję, jak krew tętnie usiłuje wpaść w ten sam takt i przystosować się. Z początku te usiłowania organizmu sprowadzają znużenie i śmiertelnie—zdrową seanność, ale gdy już nastąpi układ serca z morzem, zżycie się dwu potęg, staje się odrodzenie organizmu, jakiś renesans fizyczny, którego moc opiera się na nieskażonej żadną chorobą żywotności komórek macierzystych.

Morze... Serce moje. Potęga myśli umie połączyć, związać z sobą zjawiska napozór tak różne, dwie formy energii, które przechodzą w siebie wzajem... Nigdzie bardziej niż nad morzem, jako nad elementem pozostającym w widocznym dla wszystkich ruchu, nie odczuwa się jedności zjawisk, zjednoczenia z sobą całej przyrody. Rzeczywistość ze-

wewnętrzna schodzi się z osobniczą świadomością w stan dziwnego spokoju i siły, w coś, co nazwałbym Życie — Sen. Taki stan w filozofii i w sztuce tworzy *idealizm*, w życiu praktycznym *bohaterstwo*. Wyobrażam sobie, że nikt nie umiera spokojniej nad rybaka, nad człowieka morza. Prawda i to, że topieli, w której ginie, żadną miarą porównać nie można z sążniem mokrej gliny lub suchego piachu, gdzie po szczątkach będą spacerowały robaki. Morze nie jest pokalane brzydotą; żywi we wnętrzu swoim poczwary obok gwiazd, ale nie zawiera w sobie brudu. Jest trumną z kryształu, z bursztynu, z seledynu. Dzieci Neptuna: chłopcy Temistoklesa, Hengista i Horsy, Kamimury umierają z zapartem w piersi technieniem nieśmiertelności i zjednoczenia się z przyrodą. Jahwe, Bóg żydowski, nie ma tutaj niczego do roboty.

A jeżeli na tym płaszczu, z nieśmiertelnej tkaniny kosmicznej utkanym, który spowija duszę, jak krople rosy porannej zabłysną maleńkie, lecz ukochane gwiazdy, jeżeli na tym brzegu morskim, pod magnetycznym słońcem i rwącą wichurą północy, spotyka się ludzi, mówiących takim samym językiem, ludzi, z którymi nie widziało się *tysiąc* lat, to jakież wzruszenie ogarnąć może duszę?

Bo ja i Burek nie byliśmy sami nad morzem. Burek spotkał znajome trzy kundle owczarskie i pasterskie, kuse, podejrzliwe, mądre, łagodne i wierne i zaraz się z nimi obwąchał. Jam spotkał starców zniszczonych, młodych rybaków jak dęby, kobiety strawę chłopom w dwojakach noszące, i te dziewczki o tęgich łydach, płochliwe jak sarny, wy-

glądające z zagaju, a dowierne, gdy uśmiech ludzki zdoła je oblaskawić.

Byłem u Kaszubów, w dzikich wsiach rybackich, gdzie rzadko kto zabłądzi.

Śpiewali oni pieśni, których nie wolno słuchać w sereu ojczyzny, a tu było wolno, bo nikt obcy nie słuchał. Jeno my sami, sosny nadbrzeżne i huczące morze, które tuliło do siebie dźwięki, jak surowa, ale niezdradliwa matka.

XXI.

Na krańcu Polski.

Dziwne, niezatarte wrażenie niesie to pomorze kaszubskie, kraniec dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Chwile, które spędziłem tam samotnie, z rybakami -i z morzem, cudne przechadzki po piasku wybrzeżnym i rozmowy z falą, wyprawy rybołówne na barkach het pod... Szwecyę, biesiady z jedynym polskim ludem morskim, jaki istnieje, pozostały mi jak sen silny i żaloszny. Silny, bo mi wiatr morski krzepił duszę, żaloszny, bo ziemia ta odrycha zatrutem, niezdrowym technieniem, stęka pod ciężarem przemocy. Kraj smutny, ludzie smutni, zwierzęta smutne. Najradośniejszem ze wszystkich stworzeń, jakie tam widziałem, był mój pies, Burek i dlatego nienawidził go śmiertelnie policyant pruski.

Mieliśmy Gdańsk i Pomorze aż pod Kołobrzeg. Mogliśmy byli mieć Królewiec i Klajpedę, a za komedę hołdu oddaliśmy go potomstwu krzyżackiemu. Mogliśmy byli mieć morze i okręty, i szacunek

(powagę i business) Europy, i myśl śmiałą i świeżą jak fale morskie, i wieczny wylot i wlot wolności. Jan Kazimierz już w 1657 r. odstąpił był część ziemi kaszubskiej, Lęborg i Bytom, margrabiom brandenburskim. W 1772 r., w fatalnym roku, pierwszego rozbioru dokonał dzieła Fryderyk.

Ów wielki Fryc, Antimachiawell, homoseksualista i brudas, nie znoszący wody ani mydła, zajmując ziemię kaszubską, genialne płodził pomysły.

Oto wysyła tajną instrukcję do generała wojska okupacyjnego, Suterheima i do prezesa komory kwidzyńskiej (dzisiaj Marienwerder) Domherda, aby namawiali wojewodów i senatorów i wogóle urzędników polskich do odmawiania rządowi pruskiemu homagium, przysięgi hołdowniczej, jako sejm polski rozbioru jeszcze nie był zatwierdził. A kiedy odmówią, wtedy Fryc rozkazuje starostwa aresztem obłożyć, nowych administratorów stanowić. A ma im w tem pomagać urzędnik rzeczypospolitej polskiej, starosta pokrzywnicki, Jan Albrecht hr. Keyserling!

Wogóle pomocników zaprowadzenia niemczyzny na Kaszubach znajduje się dużo. Jak klasztor św. Wincentego we Wrocławiu, tak klasztor Kartuzów na Kaszubach, rajem Maryi (*Carthusia paradisi Mariae*) zwany, w całej rzeczypospolitej najbogatszy, 50 wioskami, 40 jeziorami, 24 sadzawkami rybnymi, 9 młynami, 20 karczmami, 11 borami władający, sprowadza kolonistów niemieckich, a w końcu staje się chętnem narzędziem Fryderyka. Przecor Józef Milchau wskazuje dragonom pruskim orły polskie, którzy zdzierają je i zmieniają na brandenbur-

skie. Oczywiście dobra klasztorne Prusacy niezwłocznie skonfiskowali.

Na tym cyplu północnym, powiat pucki stanowiącym, większej własności polskiej już niema. Są Kaszubi gburowie, drobni kmiecie, bezrolni i rybacy. Magnat tamtejszy, Reinhold von der Wicke-rau hr. Krokow, posiadacz 9,000 morgów roli i borów, pochodzi w prostej linii od Krokowskich, którzy już w 1250 r. na wsi Krokowie siedzieli, a później w pułkach rycerstwa polskiego służbę pełnili. Drugim majątkiem wielkopańskim w ziemi tamecznej jest Rzucewo, położone nad samą zatoką pruską, które należało ongi do Sobieskich, do Jana III a później Przebendowskich, dzisiaj jest własnością von Belowów.

Tam też, na krańcu Polski, w prześlicznem położeniu nad jeziorem, leży klasztor żarnowiecki, zakonnie benedyktynek, którego ksieniami były córki magnackich domów polskich, jak np. Sapiechów, Wessłów; były wszakże i Kaszubki-Pobłockie, Gowińskie, Chmielińskie, Dobrzewińskie, Tempskie, Dąbrowskie. Dzisiaj jeszcze słynie z odpustów.

Szlachty tutejszej pozostało już tylko na pokaz. Najczystsze nazwiska polskie, np. Dąbrowski, Żelewski, noszą często Niemcy. Komisya kolonizacyjna nie działa tutaj, bo niema co robić.

Lud—gbury, bezrolni i rybacy — zwartą ławą siedzi, trzymając się języka i wiary. Brak mu wzorów kulturalnych w inteligencyi. Pozostawiony sam sobie, tęskniąc w duszy do obyczaju polskiego, ale nie mając ani dworców czysto polskich po wsiach, ani ludzi wyżej oświeconych po miastach, z konie-

czności chwyta się obyczaju niemieckiego. Poprostu niema innej kultury nad niemiecką. A trzeba przyznać, że gospodarstwo materyalne rząd pruski urządził mu dobrze; po wsiach są wszędzie kolejki podjazdowe, telefony, poczty, szkoły, udogodnienia życia publicznego ogromne. Fale życia idą nieubłaganie, biada temu, kto stoi, właściwie mówiąc, stać niepodobna; człowiek się rozwija, albo gnije.

Patrzono na mnie, mówiącego z krytycyzmem o kulturze duchowej pruskiej, ze szczerem zdziwieniem. Pewien gospodarz-gbur, na wpół Kaszuba, na wpół Niemiec, podochocony, przy kuflu piwa, rzekł do mnie: „*Sie sind ein Pole der ersten Klasse*“ (Jesteś pan Polakiem pierwszej klasy). Ten brzuchała i opój, oczywiście były podoficer, świetnie wyraził kategorye kantowskie.

W kościołach księży mówią kazania narzeczem kaszubskim, jeżeli wogóle nie mówią już po niemiecku. Księży, używających czystej polszczyzny, mało, a i tych po trosze usuwają. Podczas mszy kościelni z tacami chodzą nie dwa razy, ja u nas, ale co najmniej pięć—z workami na długich kijach, a każdy worek innego koloru: niebieski, ponsowy, zielony, żółty i pomarańczowy, przy workach deseczki z drobną monetą do brania reszty. Pogrzeby kosztują drogo: pochowano przy mnie starego rybaka, który pozostawił był w spadku węciorok na węgorkie i welwetowe spodnie, dwadzieścia lat życia mające; rodzina zapłaciła za obrząd pięćdziesiąt talarów.

Lud, jako nadmorski, jest zabobonny i religijny. Odbywa się w nim nieuświadomiona walka

pomiędzy instynktem rasowym a poglądami, z zewnątrz narzucanymi. I nierzadko instynkt ów ulega. Do pewnej dużej wioski, którą poznałem, przed laty czterema poczta przywoziła 40 egzemplarzy *Gazety grudziądzkiej* Kulerskiego, a 3—*Pielgrzyma*, wydawanego przez „politykującego“ biskupa peplińskiego, Rosentretera. Dzisiaj *Gazety grudziądzkiej* przychodzą trzy egzemplarze, a *Pielgrzyma*—czterdzieści. Tak więc i tam, na krańce Polski, ciśnie się to straszne rozdwojenie duszy polskiej, która szamoce się bezsilnie, jak ptak ze związanem skrzydłem.

Po nabożeństwie niedzielnem, odbywajacem się bardzo uroczyście; przy bardzo mocnych organach i przeraźliwych trąbach, miłych snadź przywykłemu do szumu morza rybackiemu uchu, ludzie zgromadzają się w gasthausach, w karczmach. Przypatrywałem się tym — kieliszkiem i kuflem rozgrzanym. Toż to, przy surdutach i kapeluszach niemieckich, te same łby polskie, te same rozcierwienione gęby, ramiona serdeczne przy wódce, języki rozwiązłe i klecące trzy po trzy, oczy rozpustne i szukające spódnicy. To są nasi, mazurowie, czy Prusy czy Polanie, wszystko jedno kto, ale jedna krew. Wali do mnie chłopsko ogromne z kieliszkiem *Sherry Brandy*.

— Do pana—edler Herr—ja jestem Dąbrowski.

— Bardzo mi przyjemnie: Rupieć jestem.

Dąbrowski zakochuje się we mnie. Zmusza do picia. Z czuba mu się kurzy. Stawia całemu światu.

— Marsz, marsz, Dąbrowski! — Stuka kielisz-

kiem o co natrafi, trąca o łby. Ale przybiega pani Dąbrowska, zaniepokojona szczodrością męża.

— Chodź do domu—Albert—chodź.

— Nie pójdę, psiakrew, Donnerwetter. Dąbrowski jestem. Mamy tu gościa. Mówię ci odejdz, pókim dobry, Otylcia, mein Liebchen.

Ona go chce wprowadzić, on się opiera. Ale gospodarz odmawia podania trunku... Rad nie rad, ustępuje. Wychodzi jak zmaltretowany przez los człowiek, któremu ukończyła się chwilka szczęścia.

Idzie dalej, wprost drogą szeroką, pomiędzy żywymi ścianami zbóż, wytrzeźwiony, panujący nad głową i nogami, aby „Policej“ nie zapisała go do „sztrafu“.

Tegoż samego dnia miałem nieprzyjemność z powodu Burka, który spotkał się przed kościołem z psem miejscowego nauczyciela, buldogiem, zwanym „Vaterland“, o oczach czerwonych, jak żywe, krwią ociekające, mięso. Pogryzły się: po rozbrojeniu walczących okazało się, że Vaterland nadgryzł Burkowi ogona, a Burek odgryzł pół ucha. Podobno nauczyciel mi się odgrażał i krzyczał: „Der polnische Hund!“ (polski pies).

.....

Najchętniej przemieszkiwałem u rybaków. Zrozumieliśmy się wkrótce i szukali wzajemnie towarzystwa. Są to ludzie niechciwi i szlachetni.

Po północy, przed pianem kogutów, stukał w moje okno przyjaciel, drągał Michał, dwudziesto-pięcioletni olbrzym, ex-majtek marynarki.

— Jedziemy.

Szedłem nocą nad morze, pod księżycem uspio-
ne. Rybacy zwijali sieci, gotowali wyprawę. Je-
dziemy na flądry. Siedem łodzi żaglowych, łóde-
czek raczej, jak łupiny (kutrów), a w każdej ośmiu
załogi.

Jakie ciche... morze. Śpi.

Ledwie zorza, na zachodzie ciemno, pali się
jak gwiazda latarnia morska, wypływamy już. Po-
jedziemy daleko, pod Szwecyę, na północ, pod ognie
polarne, szukać sieci, wczoraj zostawionych.

O rozkoszy! Zorza ranna, ciszy morza, ciszy
serca zjednoczonego z niedosłyszalną, a wszechdo-
nośną harfą przyrody! Rozwinęliśmy żagiel. Płynie-
my. Świt jaśnieje, a od krwi słonecznej, która już
dopływa, dostaje rumieńca. A my już daleko. Łądu
nie patrzeć — mglica za nami, przed nami tafle lu-
strzane i grzywy ryb potwornych, pluskające dzie-
cinnie. Morze spokojne, im bardziej wszakże odda-
lamy się od ziemi, wiatr wzmagą się, bałwany za-
czynają się piętrzyć.

Wzeszło słońce, a my szukamy już zostawio-
nych sieci na głębokości 40—60 metrów. Szukamy
pływaków z chorągiewkami na czubie. Przepływają
obok wielkie żaglowce-okręty i steamery-parowce
po fali, oślepiająco blaskobarwnej. Światło, jak
ciecz srebrna, złota, leje się po morzu. Nieopisany
czar rozplywa się po czuciu i tak głęboki spokój,
że gdyby łódź zaczęła tonać, poszłoby się w gości-
nę śmiertelną bez trwogi. Jakże cudowną harfą jest
dusza ludzka! Bóg! Zdaje się, jakby wyraz ten był
za mały... Doznaje się czucia szalonego.

Oto łódź nasza znalazła swój pływak. Zwija żagle. Stajemy na miejscu. Tu są sieci. Czterech chłopów bierze za wiosła, aby łódź utrzymać na miejscu. Dwaj stają na burtach łodzi—jeden wyciąga sieć, tamten nową sieć zapuszcza.

Wioślarze mają robotę morderczą: utrzymać łódź na bałwanach, pracują pełną piersią. Wraz ze słońcem morze poczyna niepokoić się, fale gadają głośniej, piana jawi się na grzywach. Stary, siedemdziesięcioletni sternik cały skupił się w ruchu rąk, aby bałwan nie uderzył w bok łodzi, bo wtedy śmierć dla wszystkich. Rozkazuje krótko, ostrym krzykiem. Powaga panuje na łodzi — głęboka, jak spokój wieczny.

Umrzeć! Ludzie powinni umierać ochoczo, jak tańczą, kochają się, nienawidzą. Aby bez bólu.

Umrzeć! Dzisiejsi ludzie chorują na strach przed śmiercią. O złote dzieci Kamimury, Kocham was.

Najmózolniejszy trud wszakże ma rybak, który sieć, rybami ociążoną, z głębin wydobywa. Pracuje w pocie, a nogą stanął na burcie łodzi, która wraz z bałwanami jeździ do góry i na dół. Ilekroć w sieci wyciąganej jest flądra, tylekroć przeświała wodę srebrna struga. Jedne na drugich, na dno łodzi, kładą się zwoje długiej, długiej sieci. Powstaje góra ryb, zamierających, jak wszystkie morskie, bardzo szybko.

Wreszcie rybak wyciągnął końce — kotew od sieci. Powracamy. Rozwijamy żagiel i suniemy całą siłą wiatru. Fale ogromne, wstaje wichur, ale nie już nam nie robi. Wiatr dobry z morza, sternik

wypatruje kierunek i lecimy. Zapuszczam dłonie w falę i bawię się pluskaniem. Oni już widzą łąd, ja jeszcze nie widzę. A już jest i ciemna smuga jak chmura. Jesteśmy u brzegu. Upojonym, o jakże będę spał!

Oni rybacy spokojni, jak zawsze. Łodzie przyniosły połów niejednaki: jedni mają ryb za 150 marek, inni za 30. Gra na loterii; są do niej przyzwyczajeni. Tak chciał los.

Kobiety, dziewczyny, dzieci, oczekują na brzegu z kawą, z cykoryą raczej i kawałkiem białego, lecz suchego chleba. Ci ludzie niewiele potrzebują. Kobiety są praktyczniejsze: każda zagląda troskliwie do swojej łodzi i liczy kopy ryb.

Nie klną wszakże nigdy.

Wypiwszy kawę, rybacy odliczają flądry kupcowi (tak mówią), który wywozi je surowe do Gdańska lub innych miast, jeżeli na miejscu niema kurzarni (wędzarni). Potem się prześpią pod choiną boru nadmorskiego. Zaczem naprawiają potargane sieci, najwięcej mozolu przyczyni się wtedy, gdy do sieci w morzu przyszła była pożerać flądry—foka. To też fok nienawidzą.

Naprawianie i oczyszczanie sieci (po kaszubsku jader) jest najcierpliwszym z cierpliwych zajęć. Jest to słojd charakteru.

.....

.....

W niedzielę, w lipcowe parne popołudnia, wraz z przyjacielem Michałem chadzaliśmy z dziewczętami na grzyby. Rzecz szczególna — nie znały nazw

polskich: borowików, rydźów, muchomorów, syrojadek, lecz tylko niemieckie i to niepewne. Wypadało je zatem nauczyć. Może nie знаły z tego powodu, że dopiero od kilkudziesięciu lat rząd pruski rozpoczął dzieło zalesienia tych prachów morskich, a zatem rybacy nie mieli tradycyi grzybów.

Pośród dziewcząt pamiętam czarną, małą postać Rózi, która jest prawnuczką w prostej linii ostatniej czarownicy, spalonej przez lud na półwyspie Heli, zdaje się w r. 1832. Kruczo-czarne włosy dziewczyny pozwalają na domysł, że tym szatanem, z którym się była zadawała jej prababka, był jakiś cygan lub wałęsadło z dalekich stref.

Leżąc na bujnych, giętkich wrzosach zagajów, wolny jak Grek olimpijski, pokryjomu przypatrywałem się, jak stada dziewcząt pluskały, kąpały się w morzu. Burek, który nie lubi kobiet, legiwał opodal i udawał, że nie widzi, jak wypatrywałem oczy. Wstydził się za mnie.

O głupi psie! Nie znasz się na miodach.

.

Tam przeczytałem pierwszy raz jakiś *Tageblatt*, o wywłaszczeniu Polaków z ziemi. Projekt. Ale to przyjdzie do skutku. Pomiot Bismarka von Schönhausen, będzie ważył się na wszystko. Junkry pruskie muszą być zmiążdżeni przez naród niemiecki, ale przedtem narobią historyi wiele kłopotu.

Mam czucie, a nawet pewność, że Polakom ta napaść wiele strat nie przyniesie, a nawet przyczynić się może do ich duchowego zjednoczenia.

Dzieje się tak, jak gdyby umysłowość niemiecka zatracala dynamikę, to jest żywotność, i wstępowała na bezpłodną drogę schematów. Najwięcej lękałbym się ambasadorów pruskich przy Watykańie, rozmaitych Koppów... Ci dla Polaków są najgroźniejsi.

Jeżeli Polacy będą silnie rozwijali indywidualną, narodową myśl i dadzą szczerą kulturalną pracę, jeżeli odrzuca śmiało „palącą koszulę Dejaniry”, jeżeli święte mumie Wawelu będą odwiedzali z ogniem wewnętrznym, zakrzepłym w kryształ lodu, z nieugiętym zapatrzeniem w przyszłość, a gnijące trupy spalą, nie zmoże ich nic.

Powiadam nic... z przyrodzenia należą do rasy bogów.

.....

Ów nauczyciel, właściciel buldoga zwanego *Vaterlandem*, dotrzymał swego charakteru. Przyszedł do mnie policyant z pismem landrata: „*der lästige Ausländer*“ (natrętny cudzoziemiec), to jest ja, i „*der rasende Hund*“ (wściekły pies), to jest Burek, w przeciągu dwudziestu czterech godzin mają opuścić Prusy.

Nie było rady. Kupiliśmy z Burkiem bilety na kolej i powróciliśmy do Gratów.

XXII.

Śmierć Burka.

Burek się wściekł.

Pewnej nocy słyszałem był na podwórzu psią

wrzawę. Zapaliwszy świecę, zauważyłem, że Burka przy łóżku nie było. Gdy wyszedłem na dziedziniec, stróż oznajmił, że zjawił się jakiś obcy, wielki pies i z miejscowymi się „kotłował”. Wkrótce przybiegł Burek, który widocznie brał udział w walce. Wziąłem go z sobą do pokoju.

Na czwarty dzień posmutniał, nie chciał nic jeść i chodził sztywny, jakby mu krzyż sparaliżowało. Ociężałe przybiegał na zew, a w końcu na wołanie nie szedł wcale. Wreszcie siódmego dnia, gdym go, leżącego ze stulonym ogonem przy piecu, pogłaskał, warknął na mnie.

— O Burku!

Warknął. Ślepiami spojrzał obłądnie, groźbą. W białkach miał krew.

— Burku!

Przestał mnie poznawać. Nie istniałem już dla niego. Pies przybłądny był wściekły i pogryzł go. Jad go toczy. Nie ma ratunku.

Żal straszny. Jedyne mój towarzysz, jedyny przyjaciel. Wszyscy mnie opuścili, albo ja ich opuściłem. Rodzina, kochanki jednodniowe, kochanki miesięczne, kochanki roczne. Zośka, wiara, nadzieja, miłość, wszystkie cnoty ewangeliczne, szable, skrzydła wiatraczne, mary, przeszłość, złote sny, do diabła sam siebie opuściłem. Tylko on mnie nie opuścił—pies. Pozwalał się być wyzyskiwać z całą pokorą i bezwzględnością. Kto tu był chrześcianinem; ja, czy on? Kopnąłem go w życiu nie więcej, niż cztery razy. Inni kopią codzien. Nie jestem ostatni z ludzi. Przebaczam sobie.

Żal? Kto mi tu będzie krzyczał, reklamował żal! Kogo mam żałować? Siebie? Nie zasługuję na pożałowanie. Człowiek jest stworzeniem tak nędznym, że nie wart, aby płakały nad nim jakie oczy, jakies rosy. Niechaj trupa jego rozsąca robactwo. Przyroda jest sprawiedliwa, jak nieszczęście, a kto o tem wątpi, ten sprrowadza na ziemię jedną dżumę więcej, nową załaż choleryczną.

Mój pies wściekły i jam wściekły, jak nieszczęście, jak piana gniewna rozkołysanego morza, jak potwór, który, aby żyć, musi kąsać i pożerać. Nie mogę zmusić siebie do żalu. Gdybym wpuścił to coś do serca, przestałoby bić serce. Tak mi się zdaje. Dobrze jest mieć taką truciznę na stoliku nocnym, obok siebie, przy poduszkach. Gdy zdecyduję się zejść ze świata, dopuszczę do serca litość. Tymczasem będę się od niej bronil... aż do suchych łez.

Burku! Ty jeden byłeś przy mojej duszy. Powiernikiem moim byłeś. Patrzyłeś się w oczy, lizaleś rękę, czuleś mnie, pocieszałeś swym wymownym milczeniem, gdy bywałem smutny i włóczyłem się po ziemi, jak odsieczona piorunem gałąź dębu.

I wtedy nie myliłeś się, nie wydawałeś uczucia swego na jakies małpie pozy, na smutek błazna. Byliśmy sobie szczerzy. Burku! już nie mam ciebie. Sam jestem, i nie powiem, abym był silniejszy, może jestem upartszy. Ostatnią piętę swoją umoczyłem w wodzie nieśmiertelnej.

Lizaleś mi dłoń, gdym bierał szablę, z którą pradziad mój jak najmita błakał się po Europie, wo-

łając: „Gdzie ojczyzna“ — gdym na niej siły próbo-
wał, gdym nią siekał powietrze. O nędzo!

Lizaleś mi dłoń, gdy błyskiem woli zrzucałem
z siebie narowną szlachecką skórę i stawałem jak
najwolniejszy z wolnych, wieczny żołnierz Słońca.

Lizaleś mi dłoń, gdym ramieniem obejmował
szyję kochanki a ustami pieczętowałem jej piersi.
Byleś świadkiem, że nie mawiałem jej nigdy: „Przy-
sięgam ci miłość“, że nie kłamałem a śpiewałem jej
żądzę: „Chcę ciebie“!

Lizaleś mi stopy, gdy, spojrzawszy mi w oczy,
odczułeś, że gotów jestem z krwią w lód zakrzepłą
umrzeć na gościńcu, prowadzącym do świtu.

Opuszczasz mnie... w szaleństwie. A jam nie
oszalał w tym hałasie grobowym, w którym nie-
masz innego dźwięku nad stukot dziobów kruczych
o śpiż trumien! Co za twarde pleamię! Żywy jestem
i patrzeć muszę na okropną ślinę, która ci płynie
z zębów.

Napróżno przynoszę ci mleko, jadło. Niczego
nie chce. Leży skulony, sierść powstała, chrapie.
Pokój zamknięty, aby nie uciekł w świat...

.

Widocznie przed śmiercią instynktownie chciał
zażyć powietrza i ruchu. Przez szybę buchnął na
dziedziniec. Stałem tam, w ręku miałem broń.

— To ja mam go zabić?

— A któż? Dobranoc, psie!

Strzeliłem w głowę. Padł odrazu. Przywoła-
łem chłopów.

— Weźcie!

Wzięli Burka na nosze. Ponieśliśmy go w pole, ścieżką, pomiędzy dwoma łanami złotej, dojrzewającej pszenicy. Kazałem wypuścić brytany podwórzowe, aby poszły za nami. Przybiegły, ale powąchawszy nosze, z wyciem uciekły i schroniły się do swoich bud. Poszliśmy więc, ludzie sami.

Minęliśmy krzyż.

Rozkazałem iść do wielkiej gruszy polnej, ulęgałki-macierzy, pod którą żenicy zazwyczaj chronili się podczas burzy i ulewy. Tam złożono Burka. Usypaliśmy mu kopiec. Przywalilem okrągłakiem granitowym. Gnij! ja będę pamiętał, jeżeli ci o to chodzi!

Powróciłem do domu sam.

.....

Dobranoc, czytelnicy, którzyście urywki tego pamiętnika czytali. Urywki, powiadam, gdyż całe życie polskie jest tylko fragmentem jakiejś całości, której zresztą mało kto silnie pożąda. Dobranoc! Pamiętnik się kończy i już więcej go pisać nie chcę i nie będę.

Rozpocząłem go był w noc ciemną, gdy wszystkie gwiazdy przybladły i gdy nadzieja świtu dla małowiernych serc podobna była snowi. Widziałem snujące się legiony pustych mar, latających jak nietoperze, a krzyczących jak sowy. Czulem woń straszna i zaraźna niezdrowego powietrza, dymów dusznych i zatrutych. Więc musiałem być dobyć melodyi serdecznych, aby wytrwać, móżdż żyć dalej w tem piekle. Musiałem być przywołać choć sztu-

czne słońce lamentów papierowych, aby ostać się, nie udusić się, nie zgnieć. Piekielna nocy!

Pożary, łuna ogniów zbójeckich ukazała się na bezgwiezdne morzu nocy, a ludzie myśleli, że to rumieniec zorzy porannej. Nie zapał jeszcze kur, ptak zapowiadający wzrost nowych kształtów, lecz krakały czarne, głupie gapy. Świetne iskry słomy nędz ludzkich, palącej się w tych ogniach, zagasły szybko. Noc idzie dalej. Świtu jeszcze nie widać.

Mógłbym być dumny z tego, że przy płonącej pochodni historii ludzie okazali takie myśli, jakie w nich dojrzałem, że zanim powstała ta rzekoma pożoga światła, wygrałem był dla niej odpowiednie marsze. Czarna sepia kolorów moich była szczerem złotem prawdy. Ale czyż wieszczby Kasandry przynoszą komu pożytek?

Nigdy!...

Nie będę już pisał pamiętnika, albowiem przestałem lubić samego siebie. Nie interesuję się sobą. Opuściła mnie potrzeba przeglądania się w zwierciadle. Nabrałem wstrętu do grzebania we własnej duszy, jak kura na śmietniku.

Idę naprzód, jak żywy kształt śpiżowy, na którym zastygło uczucie. Bez loczków, figlików, okraszeń. Całym od środka na zewnątrz. Jestem czynem.

Nieszczęśliwe dziecko nieszczęśliwego narodu, którego geniusz drży od zimna, jak wypędzone przez wyrodných rodziców nagie dziecko. Naprzód. Kochać miłością czy nienawiścią, wszystko jedno, aby kochać.

Nienawidzę beczynnych hymnów o zbawieniu, modlitewnych histeryi, leniwego far-niente, świadczą-

cego się udaną wiarą. Nienawidzę mesyanizmów, prorocत्व, religii słabości. Wysłałbym całą tę czere-dę trzebieńców na wyspę Barataryę, gdzieby guber-nator Sanszo-Pansa nauczył ich rozumu.

Mam w sobie całą krew wieków, jaką rozleli bezpłodnie ci nieświadomi samych siebie faryzeusze. Naprzód!



K.

Q 1324

- 21325